Kurjer literacko naukowy

ROK III. WYCHODZI W NIEDZIELĘ JAKO BEZPŁATNY DODATEK NR. 33

Daniel Mikołaj Chodowiecki

(1726 - 1801)

Powszechnie znanym jest fakt, że jedną z głównych cech niemieckiego rasizmu, jest przywłaszczanie na rzecz rasy nordyjskiej i to w sposób bezceremonjalny wybitniejszych w historji ludzkości jednostek, a zwłaszcza tych, które się odznaczyły w nauce lub sztuce.

Jedną z takich jednostek jest Daniel Mikołaj Chodowiecki, urodzony jako syn emigranta Polaka i matki Francuski w Gdańsku 16 września 1726 r. Początkowo sposobił się młody Chodowiecki do zawodu kupieckiego jako syn kupca, atoli przesiedliwszy się z rodzicami w 16 roku życia do Berlina, poświęcił się z amatorstwa rysownictwu, a poznawszy Basedowa, pod jego kierunkiem w bardzo krótkim czasie wydoskonalił się w rysunku, miniaturze i emalji, w czem nawet doprowadził do artyzmu.

Ideałem jego do naśladowania są wielkie kompozycje Calota o mikroskopijnych prawie figurach.

Nie bez wpływu na jego twórczość jest szkoła francuska, flamandzka i wreszcie niemiecka, atoli pozostaje zawsze sobą, zawsze oryginalnym, prawie samouk, a w każdym razie bez studjów skoordynowanych, systematycznych, wzorując się pod względem smaku artystycznego na artystach tej miary, jak Watteau, Boucher, Leclerc i i.

Obdarzony umysłem pogodnym, zmysłem wysoce artystycznym, mrówczą pilnością, staje się Chodowiecki w krótkim czasie artystą najpłodniejszym, a prace jego zwłaszcza w zakresie miniatury i ilustracji odznaczają się poza kulturą wysoce artystyczną, iście benedyktyńską starannością i sięgają najwyższego poziomu tego rodzaju sztuki.

Ale nie tylko w miniaturze i ilustracji odznaczył się nasz artysta. Próbował on także tworzyć pędzlem, ale tu poza obrazem, przedstawiającym scenę wówczas aktualną „Pożegnanie Calasa" niewinnie zasądzonego i straconego (któreto malowidło zyskało sławę arcydzieła i wywołało w świecie artystycznym wielkie poruszenie tak, że Chodowiecki musiał wykonać je w miedziorycie i pod tą postacią zostało rozpowszechnione w niezliczonej ilości egzemplarzy) — nie miał powodzenia żaden utwór, to też artysta malarstwa farbami wogóle zaniechał.

Wobec tak rozwiniętej twórczości i nadzwyczaj wysokiego poziomu artystycznego licznych utworów, zwłaszcza wykonanych piórkiem i tuszem w miniaturze i ilustracji, nie mógł genjalny artysta nasz pozostać długo w ukryciu, to też otrzymuje on od berlińskiej Akademji Nauk zamówienie na wykonanie rycin do wydawanego przez nią kalendarza, co było niejako jego pierwszem oficjalnem wystąpieniem publicznem na arenie sztuki.



Obrazek rodzajowy z Berlina



Chodowiecki portretujący własną rodzinę

Za uznaniem, jakie go tu spotkało poszła i popularność Chodowieckiego jako artysty wysokiej klasy, wnet też zostaje on powołany do berlińskiej Akademji Sztuk Pięknych, której w roku 1764 zostaje rektorem, zaś w roku 1788 wicedyrektorem, wreszcie w roku 1793 dyrektorem rzeczywistym. Był to najwyższy stopień uznania dla genjuszu artystycznego.

W roku 1773 odwiedził Chodowiecki Polskę jako swą ojczyznę i tu wykonał miniaturę ks. prymasa Podoskiego, a kilka jego utworów miało się znajdować w zbiorach śp. Gwalberta Pawlikowskiego w Medyce.

Pozostałość artystyczną Chodowieckiego stanowią niezliczone miniatury oraz ilustracje dzieł Woltera, Szekspira, Lawatera, Schillera, Lessinga i w. i., ogółem przeszło 3.000 utworów.

Większa ilość utworów artysty znachodzi się w berlińskiej Galerji Królewskiej, wreszcie około 100 sztuk w berlińskiej Akademji Sztuk Pięknych.

O swej twórczości pisze Chodowiecki w swych pamiętnikach: „Rysowałem stojąc, idąc, rysowałem w podróży, a najbardziej lubiłem podpatrywać moje modele nawet przez dziurkę od klucza, w ten sposób bowiem udawało mi się pochwycić przedmiot w pozie naturalnej.

Jak bezceremonjalnie przywłaszczają sobie Niemcy Chodowieckiego, świadczy fakt, że pozostawił on pamiętnik z r. 1793 cytowany nawet przez niemieckich autorów („Chodowiecki" zwischen Rokoko und Romantik" przez prof. Dr. E. W. Bredta — wyd. w Monachjum — bez daty) — w którym wyraźnie twierdzi, że po ojcu przynależy do narodowości polskiej, zaś jego babka i matka pochodziły z rodzin francuskich emigrantów.

Wszyscy bez wyjątku Chodowieccy od czasu pozostawania na emigracji, tj. od kilku pokoleń, łączyli się węzłem małżeńskim wyłącznie tylko z osobami narodowości francuskiej, a dzieci artysty w liczbie pięciorga, tj. trzy córki i dwóch synów poszli śladem przodków i połączyli się również z osobami pochodzenia francuskiego.

Tak wygląda w świetle historji niemieckość naszego artysty, atoli nie przeszkadza to niemieckim pismakom nazywać go: „nasz północno-niemiecki sławny artysta".

Z rodziny Chodowieckiego zyskała córka, zam. Henry, jako malarka, a syn Wilhelm (ur. w Berlinie 1765 r. umarł tamże 1805 r.) jako miniaturzysta pewną sławę, ten ostatni nawet osiągnął w sztuce taką doskonałość, że ojciec nie wahał się podpisywać czyli uznawać za swoje niektórych jego utworów.

Chodowiecki umarł w Berlinie 7 lutego 1801 r., a całe jego życie było pogodnem i pozbawionem większych trosk, cieszył się on bowiem szczęściem rodzinnem, sławą jako artysta i szacunkiem ludzi, wśród których żyć mu wypadło. Zmarł jako dobry Polak i dobry syn Kościoła katolickiego.

SEWERYN ĆWIKLIŃSKI.



D. Chodowiecki: Fryzury damskie z roku 1782

Mali Polacy w Ameryce

„Nie ucz się, nie ucz, kupimy ci „szyfkartę" do starego kraju".

Jaś nie chce zamiatać chodnika.

„Ach, do starego kraju z tobą, tam dopiero oduczyliby cię leniuchować".

Mały Tadzio grymasi, nie chce jeść jakiejś zupy.

„Pockoj no, wyślemy cię do babki, do kraju — tam bendzies jodł zimniaki i żur, trzy razy dziennie, żeby ci ino dali. Bendzies „harował" w polu, to wszyćko bendzie smakowało".

Nie wiele po za tem słyszy o Polsce ten przeciętny mały Polak na obczyźnie. „Harówka", a po niej żur nie bardzo się uśmiecha. Rzeczywiście ten stary kraj jest lepszym strachem, niż kominiarz, albo cygan z torbą.

Weźmy naszą przeciętną (nie mówi się o licznych wyjątkach) Polonję w Ameryce. Przeważnie reprezentuje nas tam nasz polski chłop lub rzemieślnik. Zawsze wyjeżdżał z myślą, że kiedyś powróci. Gdy raz tam się znalazł, życie jego uległo tak szalonym, wprost w snach niewidzianym zmianom, że zamiast wracać, taki emigrant założył sobie rodzinę, zamerykanizował się powierzchownie, przyjął obywatelstwo amerykańskie, o ile był dość sprytny, aby je uzyskać. Nie trzeba było wielu lat, aby nabył tamtejszej powierzchownej kultury. Dzisiaj ten, który opuścił Polskę jeszcze za czasów austrjackich lub zaraz po wojnie, jest już dobrym Amerykaninem. Nie znaczy to bynajmniej, by przestał być Polakiem.

Można śmiało powiedzieć, że jest dobrym Polakiem nawet pomimo to, że przybranej swej ojczyźnie zawdzięcza wszystko.

* * *

Polskość tak samo jak natura odzywa się w każdym z nas. Kto się raz Polakiem urodził, ten tylko Polakiem umrzeć pragnie. Najprostszy chłop, wychowany pod którymkolwiek z zaborów (żaden Moskal ani Austrjak nie wpajał w niego przecież patrjotyzmu), wyjechał w daleki świat i... jest dobrym Polakiem. Rząd nie dał mu posady, ani wykształcenia jego dzieciom bezpłatnie, a jednak jest on i będzie Polakiem.

Lojalność tych ludzi w stosunku do Polski nie jest nawet dość doceniana. Tam, na dalekiej obczyźnie postawili polskie kościoły, polskie szkoły, polskie domy. Zorganizowali się, zjednoczyli pod polskim sztandarem. To wszystko dowodzi nieśmiertelności cudownej idei Ojczyzny. Nawet bez względu na to, co się w Niej dzieje, i kto, i jak Nią rządzi. Wielu z tych ludzi poza rodzinną wioską nigdzie nie było, nic nie widziało. Gdy przyszła upragniona „szyfkarta", jechali z radością, a jednak ze łzami.

Dzieci tych Polaków, urodzone na obczyźnie, choć marnie, to przecież mówią po polsku. Chodzą przez jakiś czas do polskiej szkoły zapisane do Związku Narodowego Polskiego, do Sokoła.

Polacy na obczyźnie spełniają sumiennie swój obowiązek względem polskości. Robią to, jak najlepiej umieją. Robią błędy, ale któż ich nie robi? Zresztą skąd oni mogą widzieć swoje błędy? Są one dość małe.

Nie można tej działalności krytykować. Najwyżej można starać się pomóc. Niektóre metody przydałoby się poprawić, aby przyczyniały się lepiej do rozwoju polskich dusz. Wszystko, co robią ci Polacy, jest dobre, ale nie zawsze tak zbliża do Polski, jak powinno, i wszystko za mało.

Weźmy polską szkołę w Ameryce.

Czem różni się ona od publicznej? Tem, że za naukę płaci się. Książki każdy kupuje sam (w publicznej szkole wszystko, począwszy od ołówka i papieru, dostaje się darmo przez cały czas pobytu), w polskiej szkole uczą religii. Uczą zakonnice, które stosują dyscyplinę fizyczną.

Rano dziecko uczy się po polsku, a po południu po angielsku. Równocześnie jest z polskiego w trzeciej klasie, z angielskiego w siódmej. Nic dziwnego.

Po polsku dziecko mówi w domu — z musu, bo ojciec i matka inaczej nie rozumieją. Angielski jest jego prawdziwym językiem.

Polską książkę czyta również dlatego, że musi, angielską dla przyjemności. Gdy się ten mały Polak nauczy po polsku, to niema nikogo ktoby troszczył się o jego lekturę. Kto kupi mu polską książkę?

Cóż może wiedzieć o literaturze dla młodzieży ten były chłop? Czy ktoś mu dawał książki, gdy był młody? Skąd ma wiedzieć? Dlatego kupuje swemu dziecku to wszystko, co tylko pieniądz kupić może, ale nigdy dobrej polskiej książki (ani angielskiej również).

Jeżeli nauczył się czytać z elementarza, to prenumeruje polski dziennik. — W ten sposób kształci się. Jakiej lektury dostarcza polski dziennik w Ameryce?

Jeden z największych i najlepiej redagowanych, to „Dziennik Związkowy". Prawda, jest tam raz w tygodniu kącik dla młodzieży. Listy do cioci Karoli. Jest pozatem kolumna Jantka z Bugaja (dzieje Jaćka Bzdury i Kaśki Myrdelonki) (świetną gwarą pisane, ogromnie bawią starszych, ale dla młodych to jest przecież „harówka" i żur, czarno na białem).

Przypomina to pewną historję, która opowiadała w towarzystwie Amerykanka, kobieta-sędzia z sądu dla małoletnich delikwentów.

Pewien 15-to letni chłopiec, Polak (wychowany w polskiej szkole) uciekł ze szkoły i z domu rodzicielskiego. (U młodzieży w Ameryce jest to na porządku dziennym. Jeden chce zostać cowboyem, druga gwiazdą filmową. Zabiera więc portfel ojca i jedzie do Hollywood). Policja „przestępcę" znajduje i oddaje do sądu dla małoletnich. Ten mały Polak stanął przed sądem, dokąd odesłała go policja (znalazłszy śpiącego w jakimś parku). Gdy stanął przed sędzią, błagał ze łzami w oczach, by zostawiono go w Domu Poprawy, ale nie odsyłano do rodziców, ponieważ ojciec znęca się nad nim.

„W jaki sposób?" — zapytał sędzia. „Czy ojciec bije cię?" (W Ameryce nawet rodzice są za to karani).

— „Ach, co mi tam bicie, to jest gorsze, niż dziesięć batów. Ojciec zmuszał mnie codziennie do głośnego czytania polskiego dziennika. Schodzili się sąsiedzi, którzy, jak ojciec, również nie umieli czytać, i słuchali.

Chłopiec uważał to za tragedję, ale **co dopiero przeżył ojciec w sądzie, gdzie tak zachowało się jego** własne dziecko, które pragnął wychować na Polaka?

Dziecko nie jest tu wiele winne, ono nie jest zdolne do poświęceń. Kocha swobodę, a najbardziej nie lubi — obowiązków. Każdy najchętniej będzie robił to, do czego nie jest zmuszany. Może tedy należałoby zawsze surowo zabraniać tego, czego się od niego pragnie. Dajmy dziecku dwadzieścia centów i powiedzmy mu, żeby szło sobie do kina, ale żeby przypadkiem nie szło do kościoła, bo tam ksiądz będzie opowiadał straszne rzeczy. Może dziecko wtedy najchętniej pójdzie do kościoła.

* * *

Weźmy tylko Chicago, gdzie jest kilka polskich parafij i dzielnica, zwana „Little Poland". Każda z tych parafij wybudowała wspaniały kościół. Przechodzi się koło tego wielkiego kościoła i duma rozpiera serce. Tu na obcej ziemi stoi polski kościół, a przy nim szkoła. Prawie jakby było się w Polsce — prawie, albo i więcej. Absolutna wolność wychowania i przekonań. Polacy są w przybranej ojczyźnie obywatelami o tych samych prawach, co każdy rodowity Amerykanin.

Czasami przechodząc koło polskiego kościoła, zupełnie mimowoli pomyśli człowiek, dlaczego gdy budowano ten wielki kościół, rozporządzając bardzo dużemi sumami, ktoś nie pomyślał o architekturze. Można było nawet kopjować sławne kościoły samej Polski, co jeszcze bardziej zbliżałoby do niej. Dobry gust w budowaniu naszych kościołów i szkół nie byłby zaszkodził, uczyniłby je był ozdobą naszych dzielnic.

Polacy bardzo dbają o te kościoły. **Płacą podatki, które nakłada parafja. Każdy parafjanin** daje kilkanaście, często nawet kilkadziesiąt dolarów rocznie. — Wystarczy wziąć do ręki jeden z **kalendarzy, które co roku wydaje każda polska parafja.** Wymienione jest nazwisko każdego parafjanina, a przy niem suma, jaką dał na kościół. Jeżeli nie dał, jest to również uwidocznione, ale takich bywa zaledwie paru, którzy może gdzieś wyjechali i słuch o nich zaginął. Największy skąpiec nie odmówi datku na kościół i na cel polski da zawsze.

W tych parafjalnych kalendarzach (które służą również jako polski przewodnik), obok większości nazwisk (999 na 1000) niema mniejszej sumy, niż pięć dolarów, a obok nazwisk właścicieli sklepów i karczem suma roczna przewyższa zwykle dwadzieścia pięć dolarów. Nie wchodzą w to opłaty za ławki, ani ofiary zbierane w różne święta.

Co niedziela każdy przychodzący do kościoła płaci za ławkę na rannej Mszy po dziesięć centów, a na późniejszej po piętnaście. To jest wstęp. Pozatem osobno jest składka. Co do niej niema już żadnej normy, każdy daje, ile zechce. Ławki w kościele są obliczone na trzy tysiące osób. Odprawia się trzy Msze.

Cóż to ma wspólnego z małym Polakiem? Otóż wielu małych Polaków woli kino od kościoła.

Dziatwa pochodzenia polskiego, wychowana w publicznej szkole na dobrych Amerykanów, nie bardzo chętnie chodzi do polskiego kościoła na długie polskie kazanie, którego ze względu na język prawie zupełnie nie rozumie. Zamiast tego woli iść gromadkami do najbliższego parku, gdzie jest ławka bezpłatna, a za piętnaście centów dwie porcje lodów i dobra czekolada, albo zachować tych piętnaście centów na drugorzędne kino.

Czy w tem jest wina pracujących rodziców? Napewno nie. Przeciętny **robotnik zostawia to szkole. Najczęściej** polskiej szkole (w której polska dziatwa stale tęskni za publiczną, bo ta daje tyle swobody).

* * *

Ludzie nie mają odwagi spojrzeć prawdzie w oczy. Prawda przestrasza i bardzo boli. Przeprowadźmy ankietę między małymi Polakami. Pozwólmy im być szczerymi, a przekonamy się o smutnej prawdzie, że gardzą oni starym krajem, i boją się, aby przypadkiem rodzice ich nie zechcieli tam wracać. Ameryka wychowuje te dzieci dla siebie. — Możemy tylko prosić Boga, żeby były jak najlepszymi Amerykanami. Reprezentacja nasza zyska tylko na tem. Nie zaszkodzi nam ich patrjotyzm amerykański, każdy gorliwy Amerykanin polskiego pochodzenia, może być równie dobrym Polakiem.

Obowiązkiem Polski i Polaków jest dać im poznać swą Polskę. Kto sam nie był niegdyś małym, nieuświadomionym Polakiem na obczyźnie, ten nigdy tego nie zrozumie.

Cóż to znaczy, że chodzi się (z musu) do polskiej szkoły, jeździ się latem na „pikniki" i wycieczki Z. N. P.? Starsi bawią się sami. Nie zachowują umiarkowania w użyciu mocnych napojów. Nie przebierają w piosenkach. Amerykanie mówią, że wybierają się często na polski piknik zamiast do cyrku.

Co za okropne pojęcie wyrabia sobie nawet inteligentniejsze dziecko o Polsce! Obserwuje amerykańską polskość i tamtejszych Polaków. Ich właśni rodzice są przykładem. Pozornie cóż można zarzucić Pracują, modlą się, wychowują swoje dzieci, tak, jak najlepiej umieją. Co czasem robią źle, jest robione źle tylko dlatego, że sami nie mając wykształcenia, nie mogą wiedzieć, jaka metoda da najlepsze owoce. W walce o chleb nie myśli się wiele o metodach, jeżeli jest się tym przeciętnym robotnikiem, którego wychowała bieda i wysłał w świat często głód.

Nieraz słyszy się w szkole amerykańskiej, jak młodzież sprzecza się między sobą. Padają przeróżne przezwiska: **„You sloppy Polack" „You dirty Irishman"**, albo **„You filthy Dago"**. (Ty polski mazgaju, Ty brudny Irlandczyku, Ty romańska świnio. Dago oznacza amerykańskiego Włocha, Hiszpana lub Portugalczyka).

Ktoś musi o tem pomyśleć. Ktoś musi starać się to pojęcie o Polsce i Polakach naprawić. Polonja robi swoje, ale stary kraj nie bardzo się o to troszczy. Polska ma dość swoich dzieci u siebie w domu, to prawda, ale czy tamte dzieci też nie swoje? Coś się im od Polski należy i Polsce powinno na nich zależeć.

Trzeba coś na to poradzić, a gdzie chęć, tam znajdzie się i sposób. Obecne pokolenie już się starzeje. Nie będzie żyło wiecznie. Immigrację do Stanów mocno ograniczono. Następne zaś pokolenia będą to tylko Polacy z pochodzenia. Coraz mniej będą interesowali się Polską i mniej z każdą generacją będzie im na polskości zależało.

Nie mamy na to funduszów, aby dla propagandy opłacić im podróż przez Atlantyk i pokazać im Polskę. Należy nawet wątpić, czy wielu znalazłoby się ochotników na odwiedzenie starego kraju.

Gdybyśmy nawet za przykładem Z. N. P. każdemu z tych dzieci zrobili na gwiazdkę prezent, to też nic nie znaczyłoby. Prawda, nadchodzą w Ameryce święta. Są zabawy z niemi połączone. Młodzież jest wtedy ciekawa, czyj głos i czyją postać św. Mikołaj w tym roku przybierze, i czy będzie później bardzo pijany. Nie trudno wymyślić prezent na gwiazdkę. Św. Mikołaj przynosi piękne pudełka pomadek, śliczne teczki na książki, „złote" pióra, piórniki, lalki, zabawki, chusteczki jedwabne. (Wszystko zakupione w sklepach Związkowców).

Nigdy jednak nie wyciąga ze swej torby ładnej, polskiej książki. Bardzo słusznie, bo ta dziatwa nie lubi książek na gwiazdkę (kiedy jest dla niej tyle „lepszych" rzeczy). Powinno się dawać książki jako prezenta w którejkolwiek innej porze roku, a nie na Boże Narodzenie, kiedy dzieci pochłania całkowicie choinka i tysiąc jeden przysmaków świątecznych. Podarek w jednej, oznaczonej przez tradycję porze roku, nie ma nigdy tyle wartości i tyle uroku, ile w porze, kiedy dla dziecka niema innych atrakcyj. — Wakacje przynoszą upragnioną swobodę, lepszą od wszelkich prezentów, ale i podczas wakacyj są dnie, kiedy się dziecko nudzi.

Dziatwie polskie na obczyźnie przydałby się podarek, który pomógłby do zabicia czasu o każdej porze roku. Zależy nam przecież na połączeniu dobrego i pięknego z pożytecznem.

Czy nie możnaby naprzykład dać tej młodzieży czegoś, coby i nam przyniosło pożytek? Moralny oczywiście. Przypuśćmy żeby w porozumieniu z Z. N. P. stworzyć kwartalnik ilustrowany dla młodzieży polskiej w Ameryce. **W języku angielskim, dlatego, aby dziecko czytało dla przyjemności.** Kwratalnik stanowiłby trwały kontakt z Polską. W Polsce jest tylu świetnych pedagogów i ludzi, którzyby mogli go tu w Polsce opracować, wydawać zaś w Ameryce.

W takim kwartalniku możnaby opowiadać historję Polski, która w formie powiastek nie byłaby wcale nudną. Możnaby pokazywać wszystko, co jest warte pokazania. Nasze stare zabytki, wogóle to, z czego każdy Polak jest dumny.

Gdyby nie można było z jakichkolwiek powodów stworzyć stale wydawanego kwartalnika, to możnaby opracować książkę, rodzaj „Polski w miniaturze". Wydawca nicby nie ryzykował w tym wypadku.

W porozumieniu z Z. N. P. i z całą Polonją amerykańską, którąby sama za to zapłaciła, „Polska w miniaturze" znalazłaby się wtedy i w najbiedniejszym domu. Polskie dziecko brałoby ją z sobą do swej publicznej szkoły, niejeden mały Amerykanin oglądałby obrazki, barwne ilustracje, niejeden przeczytałby napisy pod obrazkami.

Nasza propaganda zagraniczną ze strony Polski jest marna. Nie daje tyle, ile powinna. Od tego, co dzisiaj zrobimy, zależy nasza jutrzejsza pozycja w świecie. Nie powinniśmy skąpić na te cele.

EMILJA KICMALÓWNA.

A. ELSEY

Pogańska świątynia z przed 3000 lat

Londyn, w lipcu.

JAK RUNĘŁY MURY JERYCHA

Prace angielskich ekspedycyj archeologicznych, prowadzone z wielkim nakładem kosztów i energji na terenie Palestyny, przynoszą raz po raz cenne odkrycia. Wyniki te, należy zestawiać ze Starym Testamentem, do którego są rewelacyjnemi nieraz objaśnieniami i ilustracjami.

VI. rozdział Księgi Jozuego opisuje zdobycie Jerycha, którego mury runęły od krzyku wojowników hebrajskich i od głosu trąb kapłańskich. Badania archeologiczne wykazały, że relacja Pisma św. ani nie jest wymysłem, ani nie przedstawia cudu. Mury Jerycha zbudowane były niedbale i prawie bez fundamentów. Gdy tysiące ludzi ciężko zbrojnych, okrążyło je siedmiokratnie, gdy wstrząsnął niemi niesłychany zgiełk uczyniony przez oblęgających, zwaliły się z naturalnych przyczyn.

LOSY ŚWIĄTYŃ W LACZYSZU

Zwycięska pieśń Debory i Baraha, wypełniająca rozdział V. Księgi Sędziów (w. 4—6) wspomina o wielkich burzach i ulewach, przy których drżała ziemia a z gór płynęły potoki błota. Nawet góra Synaj „topniała przed Panem". A było to w dniach Szamgara, syna Anatha.

Ów Szamgar, syn Anatha, był prawdopodobnie jednym z wodzów faraona Ramzesa III. Wywód prof. Garstanga na ten temat brzmi wcale przekonywująco. Południowa część Ziemi św. była w owym czasie w ręku pogan palestyńskich, z którymi walczyli Izraelici. Poganie mieli pomoc egipską, lecz z czasem ulegli, a świątynie ich zostały zniszczone ogniem.

Między innemi spotkał ten los świątynię w mieście Laczysz. Lecz płomienie nie strawiły wszystkiego. Zgasił je ów namuł, płynący ze stoków górskich Pokrył skazaną na zagładę świątynię i uchronił większą część jej wewnętrznego urządzenia przez spustoszeniem i zrabowaniem.

W roku 1934 **Wellcome Archaeological Research Expedition** pod kierownictwem znanego kierownika Starkey'a odkopała ów pogański przybytek. Całe jego wewnętrzne urządzenie zapakowano z nadzwyczajną troskliwością przewieziono do Londynu i wystawiono obecnie na widok publiczny na Hindestreet K. Manchestersquare, przeznaczając dochód ze wstępów na fundusz badań archeologicznych w Palestynie.

OŁTARZ I NACZYNIA OFIARNE

Prymitywny ołtarz ma po prawej stronie trzy stopnie, po których wchodzili kapłani. Obok nich stoi zwężające się ku dołowi naczynie, do którego wlewano płynne ofiary. Jest z wypalanej gliny, podobnie jak kadzielnica. Tuż przy tych naczyniach widzimy terrakotową wannę, w której kapłani odprawiali ablucje, zanim wstąpili na stopnie.

Poza ołtarzem jest podwyższenie. Leży na niem znaczna ilość lamp, mis i kubków. Dalej, w zagłębieniu w murze, leżą kamienne skarabeusze, na których odcyfrowano napisy, głoszące chwałę myśliwską faraona Amenhotepa III. (1413—1377 przed Chr.), zabójcy 102 lwów.

Szereg przedmiotów, misternie rzeźbionych z kości słoniowej, wykazuje inną, wyższą kulturę. Archeologowie przypuszczają, że były one do Egiptu i do Palestyny importowane z północy, prawdopodobnie z Syrji lub z Fenicji.

Najcenniejszą pod względem naukowym rzeczą, znalezioną w świątyni w Laczysz, jest duży terrakotowy puhar wysokości 18 cali (45 cm), gdyż część jego górna pokryta jest czerwonemi literami, a pismo zasługuje na szczególną uwagę.

PRZYCZYNEK DO DZIEJÓW PISMA

Jest dziś rzeczą ogólnie uznaną, że alfabety, których dziś używają narody europejskie, a więc przedewszystkiem alfabet łaciński, pochodzą od pisma fenickiego. Naturalnie zaszła tu ewolucja, obejmujące długi szereg systemów graficznych.

W roku 1905 Sir Flinders Petrie odkrył w świątyni w Kadim na półwyspie Synaj tajemnicze pismo, którego związek z innemi trudno było ustalić. Czerwone litery, zdobiące szyję puharu z Laczysz łączą je wyraźnie z alfabetem fenickim. Zaginione ogniwo łańcucha zostało odkryte.

Gdy operuje się wiekami, dokładność datowania wypadków i zjawisk, nie jest możliwa. W każdym razie odkrycie Starkey'a wpłynie poważnie na chronologię. Udowodnił on, że puhar pochodzi z czasu między r. 1295 a 1262 prz. Chr. Tymczasem ogół epigrafików oznaczał datę powstania napisu na grobie Ahirama z Gebal w Fenicji mniej więcej na rok 900 prz. Chr. Jedynie francuski uczony Dussaud umieszczał ten najstarszy zabytek pisma fenickiego o jakich 350 lat głębiej w przeszłości. Puhar gliniony z Laczysz przyznaje mu słuszność.

NAJSTARSZE PISMO ŚWIATA

Owo pismo, odkryte w roku 1905 na półwyspie Synajskim, uchodzi za najstarszy alfabet świata. Niemieccy archeologowie wystąpili z hipotezą, że może twórcą jego był, a w każdym razie używał go Mojżesz, od którego miała pochodzić inskrypcja w świątyni Serabit w Kadim.

W roku 1916 Anglik Alan Gardiner sprzeciwił się tym przypuszczeniom. Odczytał mianowicie jeden z wyrazów inskrypcji synajskiej jako „Balaat", imię własne, spokrewnione z fenickim Baalem. Mojżesz nie wyrzeźbiłby nigdy na glazie tego pogańskiego wyrazu. Stwierdzono później, że wyraz rzeczywiście należy czytać „Baalat". Atoli z wykopalisk jerychońskich wiemy dziś, że Mojżesz był w ciągu XV. w. na półwyspie Synaj i że łączyły po pewne stosunki z Midjanitami. Jest więc rzeczą prawie pewną, że znał ten alfabet — podobnie, jak egipskie pismo hieratyczne (hieroglify) i demotyczne (ludowe).



NAPIS NA PUHARZE Z LACZYSZ
Pomiędzy literami umieszczono rysunki — lwa, jelenia i gazeli.

Wydaje się również prawdopodobnem, że Izraelici wprowadzili do ziemi Kanaan owo pismo synajskie w okresie jej podboju, współczesnego panowaniu Amenhotepa III., którego skarabeusze należą do skarbów świątyni w Laczysz.

Tł. W. T.

Podziemne kwiaty i owoce

Sądziłby można, że kwiat, ten prawdziwy — jak powiada Maeterlinck — „uśmiech materji", nie może żadną miarą istnieć w mroku, pod ziemią. Wydaje się to sprzecznem z jego naturą. Przyroda nie znosi jednak żadnej szablonowości i często — jakby z przekorą realizuje to, co, pozornie przynajmniej, zdawałoby się, nie jest do urzeczywistnienia. Jednym z takich jej „kaprysów" są podziemne kwiaty i owoce.

Osobliwa ta biologiczna właściwość występuje u roślin z różnych grup systematycznych i bywa rozmaicie silne i zaakcentowana. Typ najskrajniejszy reprezentują niektóre gatunki afrykańskiego rodzaju Stylochiton, należącego do grupy tzw. obrazkowatych np. Stylochiton lancifolius. Nieduża ta, bo zaledwie kilkanaście cm. wysokości licząca roślina, żyjąca w stepowych obszarach Sudanu, w okresie kwitnienia niemal w całości ukryta jest w ziemi. Nad powierzchnią gruntu wystaje tylko koniec liścia otaczającego kwiatostan. Wąskim wylotem wpada światło, — tą samą drogą dostają się do kwiatów,



Orzech ziemny (Arachis hypogaea)

zwabione ich zapachem, owady. Roślina położeniem swem przypomina więźnia, który za jakieś ciężkie przewinienia, dostał się do lochu.

Znacznie mniej „tragicznie" przedstawia się los innych roślin o kwiatach podziemnych. Mogą one dowoli cieszyć się słońcem, a obok kwiatów podziemnych wytwarzają także kwiaty nadziemne.

Należą tu niektóre śródziemnomorskie wyki i groszki oraz parę innych, również obcych naszej florze roślin.

Kwiaty podziemne wszystkich tych roślin nie oglądaja zupełnie światła słonecznego. Powstają one na cienkich, bladych pędach podziemnych, są nikłe, bez płatków i nie otwierają się wogóle. Jest rzeczą ciekawą, że u niektórych z tych roślin pędy podziemne po wydobyciu ich na światło wykształcają normalne kwiaty nadziemne. Naodwrót też, przysypanie ziemią pędów zielonych „skłania" je do rezygnacji z kwiatów nadziemnych na rzecz drobnych, podziemnych.

Nieotwierający się kwiaty wytwarza także nasz szczawik (Oxalis acetosella), zwany popularnie „zajęczą kapustą". Nie chowa ich jednak pod ziemią, ale „zadowala się" wtuleniem w mech i liście. Dojrzewające owoce zostają podniesione do góry.

Jeżeli chodzi o podziemne owoce, to, jak łatwo się domyśleć, powstawać one będą u roślin, mających kwiaty podziemne. Nie jest to jednak warunek bezwzględny. Znamy bowiem wiele roślin, u których owoce takie powstają z kwiatów typowo nadziemnych. Jedną z nich jest hodowany często w doniczkach cyklamen (Cyclamen europeum), zwany niewłaściwie fiołkiem alpejskim. Po przekwitnięciu rośliny, łodyżka, na której kwiat był osadzony, skręca się spiralnie i wciska zawiązujący się owoc w ziemię. Tam on dojrzewa, poczem z wiosną, przez skurczenie się tejże samej szypułki, wydostaje się na zewnątrz.

Podobne wciskanie występuje u amerykańskiego orzecha ziemnego (Arachis hypogea), dostarczającego, sprzedawanych u nas w zimie na ulicach, „orzeszków palonych". Roślina ta przypominająca wyglądem groch (tylko bez wąsów (uprawianą jest szeroko w krajach tropikalnych (Brazylja, Indje, Afryka), a także w południowej Europie Nasiona jej, mieszczące się po dwa w krótkich strąkach dostają się na skutek rozrostu osadki kwiatowej również do ziemi (na głęb. 5—8 cm), gdzie dojrzewają. Są bardzo bogate w substancje odżywcze (30 proc. białkt, do 50 cje odżywcze (30 proc. białka, do 50 olej.

Podobnie jak orzech ziemny postępuje ze swemi owocami wiele innych gatunków z grupy strączkowych. W naszej florze zachowuje się podobnie lnica bluszczykowata (Linaria Cymbalaria), roślina, coprawda, południowoeuropejska, ale żyjąca w stanie zdziczałym i u nas. Jako roślina czepna, podobnie jak bluszcz (który też wyglądem przypomina), wspinająca się po skałach i murach, wciska swe owoce nie do ziemi, ale do szczelin.

Podziemne kwiaty i owoce nazwaliśmy na wstępie kaprysem natury. Określenia tego nie należy brać zupełnie dosłownie; istnienie ich w wielu wypadkach przynosi roślinie wyraźną korzyść. Odnosi się to przedewszystkiem do gatunków o kwiatach podwójnych: nadziemnych i podziemnych.



Stylochiton lancifolius A. roślina kwitną ca. B. roślina owocująca. C. kwiatostan w przekroju.

Aby roślina mogła wydać nasiona, kwiat musi ulec zapyleniu. Czynność tę większość roślin „powierzyła" owadom. Może się jednak zdarzyć, że z jakichś przyczyn (np. deszczów, chłodów) owady nie przyjdą. Aby i w takim wypadku móc wydać potomstwo, wytwarza roślina kwiaty podziemne, które zapylają się same. Wytwarzanie podziemnych kwiatów stanowiłoby więc w świetle tych faktów asekurację na wypadek, gdyby zawiodły kwiaty nadziemne.

Co się tyczy owego afrykańskiego obrazkowca, to tutaj pożyteczność nie jest tak widoczną. Schowanie się rośliny do ziemi stanowi, być może, pewną ochronę przed silną insolacją i połączona z nią utratą wody.

Wciskanie rozwijających się owoców do ziemi może mieć dwojakie znaczenie: z jednej strony izolację młodych nasion od szkodliwych wpływów zewnętrznych (np. zimna, suszy), a z drugiej zabezpieczenie im przyszłości. Roślina macierzysta osadza swe potomstwo sama w ziemi, nie pozostawiając go na niepewne losy. Lnica i orzech ziemny stanowiłyby w takiej interpretacji przykład daleko posuniętej miłości rodzicielskiej" u roślin. „Troskliwość" ta ma jednak i strony ujemne; pociąga za sobą zbytnie zagęszczanie się młodego pokolenia i brak miejsca. Ewentualna korzyść nie jest zatem bez „ale".

M. K.

„Rosja wczoraj - dziś - jutro“

Z powodu książek o Rosji i rewolucji rosyjskiej, które nie przestają zalewać po dziś dzień naszego rynku wydawniczego, można wprawdzie wyłowić perłę prawdziwą znajomości przedmiotu, umiejętności patrzenia i zdolności do syntezy, myśli głębokiej i talentu pisarskiego, — dotyczy to jednak przeważnie jakichś dzieł specjalnych, że się tak wyrazimy — monograficznych, poświęconych jakiemuś jednemu zagadnieniu, związanemu z Rosją, jej życiem i historją jej rewolucji.

Prawie wszystkie natomiast książki, mające pretensje do ogólnej syntezy, do reprezentowania całokształtu zagadnień, z Rosją i rewolucją rosyjską związanych, mające — jednem słowem — zawierać całość wiedzy o Rosji, — w przeważającej części chybiają celu, rażąc albo płycizną sądów i powierzchownością spostrzeżeń, kryjącą się za szumnym frazesem, albo jawną lub źle ukrywaną stronniczością, świadomie gloryfikującą jedną stronę medalu, a zamykającą oczy na drugą, — przyczem w sensie czysto literackim, z rzadkiemi wyjątkami, mają charakter szybko i łatwo robionej, produkowanej, nie tworzonej, a nawet nie wypracowanej — tandety.

Do tych wspomnianych rzadkich wyjątków zaliczyć należy książkę, zasługującą na uwagę nietylko ze względu na swe niewątpliwe walory pisarskie, ale przedewszystkiem dlatego, że dając próbę syntezy i to syntezy, opartej na przesłankach często zupełnie nowych i będących niespodzianką w polskiej literaturze o Rosji: przesłankach oryginalnych, nieraz za oryginalnych i może ryzykownych nawet — ma ta książka charakter dzieła poważnego, rozporządzającego ogromnym, a nie podlegającym zakwestjonowaniu materjałem i znajomością przedmiotu — że się tak wyrazimy — „od wewnątrz“.

Książką tą jest „Rosja wczoraj, dziś i jutro“ Hieronima Poleskiego (str. 373, Lwów, Biblioteka Religijna 1927), rzecz — jak widzimy — wydana już dawno, rzecz zrozumiała — pod wielu względami już przestarzała, posiadająca jednak cały szereg cennych momentów, aktualnych dziś, jak i przed siedmiu laty, — momentów, nigdy nie wietrzejących. „Rosja wczoraj, dziś i jutro“; jak widać z tytułu, ma ambicje do ogarnięcia całokształtu zagadnień, związanych z Rosją, i do stworzenia syntezy.

Poniżej zobaczymy, czy i o ile ambicje te zostały urzeczywistnione, narazie powiemy tylko, że i p. Poleski nie ustrzegł się niebezpieczeństw, jakie czyhają na wartość kompozycyjną każdego dzieła syntetycznego, poruszającego tematy aktualne, równowaga bowiem elementów jego pracy, być może idealna przy powstawaniu pomysłu, w realizacji jest wybitnie zachwiana: „Rosja wczoraj“ i „Rosja jutro“ to tylko wstęp i zakończenie bardzo obszernego omawiania „dziś“, przyczem „dziś“ to jest niemal dosłownie: im bliżej podchodzi autor do czasów ostatnich, do roku 1927-go — tem staje się rozlewniejszy, bardziej szczegółowy, niemal gadatliwy. Tak np. niezwykle doniosłe, najważniejsze wypadki rewolucji z lat 1917 — 18 są pobieżnym szkicem, krótką informacją niemal, w porównaniu z obszerną relacją tego, co się działo w Rosji, w latach 1922 — 23 i następnych. Wytłumaczyć te usterki łatwo: te najcięższe właśnie „kolubryny“ w książce drukowane były uprzednio, jako aktualne artykuły, w prasie („Gazeta Warszawska“ i inne); p. Poleski pisał je nie jako syntetyzujący autor książki, ale jako publicysta, uwypuklający to, co w danej chwili jest najaktualniejsze — stąd nierównomierność między poszczególnemi elementami całości.

Nierównomierność ta jest nietylko czasowa, ale i geograficzna, przestrzenna: wypadkom w Azerbejdżanie i wogóle na Kaukazie poświęcił autor — jak na dzieło syntetyczne — stanowczo niewspółmiernie dużo uwagi w porównaniu naprzykład z innemi terenami walk rewolucyjnych i wojny domowej: z frontem północnym Judienicza, z białym kontrterrorem na południu, przedewszystkiem zaś z całą tak doniosłą akcją Kołczaka na Syberji, a nawet z epizodem wranglowskim.

Widocznie, autor sam obecny był lub bardzo bliski temu, co się działo na Kaukazie: prawdopodobnie w Azerbejdżanie w czasie rewolucji się znajdował — stąd to zachwianie równowagi między poszczególnemi elementami, tak znamienne i tak zrozumiałe u wszystkich syntetyków — świadków naocznych.

Tyle o kompozycji. Teraz przejdźmy do treści.

Z góry trzeba zaznaczyć, że autor Rosję, a w szczególności Rosjan zna nietylko dobrze, ale gruntownie i wszechstronnie, — co więcej, czuje do psychiki rosyjskiej niekłamaną sympatję, co przebija z każdego niemal słowa, poświęconego temu zagadnieniu, choć i stara się zachować całkowity objektywizm i nie szczędzi pesymistycznych wniosków odnośnie twórczych i konstruktywnych możliwości duszy narodu rosyjskiego.

Raczej jednak cały szkic „O duszy rosyjskiej“ — poza szeregiem cennych informacyj, podanych objektywnie — stanowi apologię, próbę wytłumaczenia Zachodowi, czem są i skąd się wzięły te odrażające, azjatyckie, barbarzyńskie, rozkładowe elementy, które doprowadziły do tego, co w Rosji się stało w latach 1917 — 1922, a które taką pogardę, a nieraz i odrazę budzą w społeczeństwach i u ludzi, których określamy jako „typowych Europejczyków“.

Otóż według p. Poleskiego niema mowy o jakimś rozkładzie rosyjskiej indywidualnej i narodowej organizacji psychicznej, — niema rozkładu, bo nigdy nie było żadnej organizacji. Tu tkwi najważniejszy i najciekawszy punkt wyjścia autora „Rosji wczoraj — dziś — jutro“.

Twierdzi on, że szczepy mieszanego pochodzenia słowiańsko — fińskiego organicznie nie są zdolne do jakiejkolwiek działalności zorganizowanej, czy zewnętrznej, czy wewnętrznej; nie były w stanie więc wytworzyć ani organizacji państwowej, ani podjąć jakiejś zorganizowanej akcji w zakresie postępu i doskonalenia psychicznego, społecznego, politycznego i t. d.

Z tegoby należało wyciągnąć wniosek, że naród rosyjski, jako taki, nie jest zdolny do żadnej twórczości, a więc i do tworzenia dziejów. I rzeczywiście, p. Poleski traktuje dzieje Rosji, jako historję ujarzmiania masy i psychiki rosyjskiej przez czynniki obce, — ujarzmiania, które w **każdym** wypadku było dla Rosji, jej dziejów i kultury dobrodziejstwem.

Stąd czerpie swe źródło teorja **waregizmu**, oryginalna i bardzo ciekawa koncepcja p. Poleskiego, nie zbyt coprawda przekonywująca chwilami i ryzykowna, nie mniej jednak czyniąca zaszczyt autorowi jego zdolnością do samodzielnego historycznego myślenia. Termin **waregizm** pochodzi od waregów, tych północnych, normadzkich wikingów, którzy w w. IX albo podbili Rosję, albo — jak głosi starodawna tradycja — zostali zaproszeni przez ludność, mówiącą: „Ziemia nasza bogata i obfita, ale niema ktoby rządził nami. Przyjdźcie i rządźcie“.

P. Poleski, jak wszyscy zresztą historycy ostatnich czasów, przyjmuje teorję najazdu, tradycja jednak przywołania Waregów ma dla niego ważne znaczenie, jako manifestacja zrozumienia przez naród rosyjski swojej kompletnej niezdolności do jakiejkolwiek organizacji — organizacji ustroju, życia, psychiki, historji. Najazd Waregów uczynił Ruś silnem państwem, zrobił z niej organizację — i odtąd aż do ostatnich czasów dzieje Rosji i wszystko, cokolwiek stworzy, jest dziełem Waregów, raz poraz zmieniających swą nazwę i oblicze narodowe, — ale zawsze w stopniu jednakowym ujarzmiających Rosję z jej własną korzyścią. Waregami tymi byli i Mongołowie, mogli nimi się stać na pocz. XVIII stulecia Polacy, potem byli Niemcy....

Nie wiem, czy Rosjanom przypadłaby do gustu ta teorja i czy wytrzymuje ona krytykę w świetle poważnej nauki (a choćby i tradycji historycznej), — w każdym razie pomyślana jest oryginalnie, choć oryginalność tą sięga za daleko i dochodzi do wniosków, bardzo się kłócących z powszechnie przyjętemi poglądami na historję Rosji: tak np. według p. Poleskiego, Mikołaj I. był ostatnim monarchą którego twarde „niemieckie“ rządy były dobrodziejstwem do Rosji!...

Otóż ciągłe zawichrzenia, bunty, przewroty, akcja wywrotowa drugiej połowy ubiegłego wieku i wreszcie straszliwa rewolucja 1917 roku i jej skutki — w świetle teorji „waregizmu“ nie są niczem innem, jak odwieczną walką dążącej do bezwładu i kompletnej dezorganizacji psychiki narodu rosyjskiego z waregizmem, który narzuca tej psychice dyscyplinę i zmusza ją do działalności, do wysiłku. Plastycznie przedstawia się to następująco: naród rosyjski to zdrowe, silne, potężne ciało, nie posiadające kręgosłupa — na nogach utrzymuje je zewnętrzny, mocny pancerz, który nie pozwala ciału upaść, gdy jednak ciało siłą swego ciężaru i bezwładu runie, roztrzaska i unicestwi pancerz...

I w przyszłości widzi p. Poleski zbawienie Rosji w nowej ekspansji waregizmu: pragnąłby, by **waregami** (już nie w sensie politycznym organizacyjnym, ale kulturalnym, ekonomicznym), byli Polacy...

Teorja, jak już się powiedziało, oryginalna, logicznie i inteligentnie skonstruowana, ale ryzykowna — najprawdopodobniej nie na tyle mocna, by się oprzeć, gdyby przypuszczono do niej atak fachowej historji, uzbrojonej w źródła i metody, lub kanonadę historjozoficzną.

Niezależnie od koncepcji waregizmu, stanowiącej trzon dzieła p. Poleskiego, książka posiada moc niezwykle wartościowego materjału, cały szereg bardzo trafnych sądów i spostrzeżeń, inteligentnie i jasno tłumaczących zjawiska psychiki czy kultury rosyjskiej niezrozumiałe dla „człowieka Zachodu“ albo mało czy wcale nieznane fakty z epoki rewolucji: tak np. bardzo ciekawe i słuszne są uwagi o istocie nihilizmu rosyjskiego, o zasadniczej różnicy między socjalizmem zachodnio - europejskim, a rosyjskim: między materjalistyczną socjalną demokracją a rosyjskim inteligenckim, mitycznym „es-eryzmem“ wraz z jego „sowietyzmem“, przyczem zwycięstwo swe zawdzięcza bolszewizm nie tyle swej doktrynie, ile kompromisowi z programem es-erowskim.

Na wyróżnienie zasługuje bystra a bezstronna charakterystyka Cerkwi Prawosławnej i jej stosunku do caratu, emigracji rosyjskiej i jej skotnienia, wreszcie zupełnie nieznane niemal wiadomości o kontrbolszewckiej akcji ze strony najbardziej rewolucyjnie usposobionej marynarki wojennej w Kronsztadzie w roku 1921.

Wypada wreszcie wspomnieć o trafnem umieszczeniu psychiki rosyjskiej między „europeizmem“ a „rosyjskością“ i o portretach działaczy bolszewickich, w szczególności Lenina.

Nienawidzący bolszewizmu, uważający jego panowanie w Rosji za władztwo Antychrysta — autor umie być imponująco objektywnym: jego sylwetki czołowych działaczy bolszewizmu świadczą o olbrzymim i dodatnie skutki za sobą (w sensie literackim) pociągającym wysiłku w kierunku zachowania zupełnej bezstronności, czego jakoś nigdy nie można powiedzieć o naszych autorach — sympatykach bolszewizmu, gdy piszą o jego przeciwnikach.

(n. t.)

Izobary i millibary

Kto interesuje się bliżej meteorologją i studjuje mapki, codziennie zamieszczane w licznych pismach, a podające stan ciśnienia atmosferycznego w poszczególnych krajach Europy, ten zauważył niewątpliwie, że od paru miesięcy w znakowaniu tych mapek zaszły pewne zmiany.

Idzie mianowicie o tzw. „izobary“, oznaczające strefy o jednakiem ciśnieniu atmosferycznem, którego wysokość określaną bywa obecnie w cyfrach znacznie wyższych, niż to dawniej było praktykowane.

Gdy bowiem poprzednio ciśnienie to wyrażało się cyframi od 720 do 790 mm., to obecnie odnośne cyfry przekraczają 1000.

Zmiana ta stoi w związku ze zmianą jednostki miary, która poprzednio była wysokość słupka rtęci, odpowiadająca ciśnieniu powietrza, a wyrażona w milimetrach.

Obecnie natomiast za jednostkę mierniczą przyjęty został „millibar“, przyczem jeden millibar odpowiada ciśnieniu powietrza na 1 centymetr kwadratowy, obliczonemu w gramach. Że zaś ciężar gatunkowy rtęci wynosi 13.6, zatem słupek rtęci o wysokości np. 760 milimetrów, a o przekroju 1 ctm. kwadratowego ważyć będzie 76 × 13.6 = 1033 millibarów.

W przeliczeniu tedy na millibary odpowiada:

721	mm. rtęci	—	980	millibarom
728	„ „	—	990	„
735	„ „	—	1000	„
743	„ „	—	1010	„ itd.

Zmianę tę przeprowadzono z dwóch względów: przedewszystkiem szło o wprowadzenie i na tem polu tzw. „absolutnego systemu miar“, wedle którego wszystkie miary opierają się na trzech zasadniczych miernikach: grama, sekundy i centymetru.

Pozatem nowy system ma i tę jeszcze zalete, że jego jednostki są stosunkowo mniejsze, niż to było przy poprzednim systemie, dzięki czemu można przeprowadzić bardziej dokładne zróżniczkowanie izobarów.

(kr.)

Kwestja żydowska w dawnej Polsce

i próby jej rozwiązania

Kwestja żydowska kształtowała się w dawnej Polsce w ciągu wieków rozmaicie, zależnie od roli, jaką odgrywali Żydzi w życiu narodu.

W średniowieczu Polska była rajem dla żydów. Stanowili oni pożądany element kupiecki, potrzebny dla państwa stawiającego pierwsze kroki na rynku europejskim, nawiązującego pierwsze nici wymiany handlowej z innemi narodami. W tym czasie Polska wchłonęła znaczne ilości Żydów wypędzanych i prześladowanych w innych krajach, Królowie polscy darzyli ich opieką i przywilejami, a ludność odnosiła się do nich bez nienawiści, co najwyżej z niechęcią z jaką człowiek średniowieczny patrzeć musiał na drugiego wyznającego inną wiarę.

* * *

Dobrze się też wtedy Żydom działo. Możniejsi dochodzili rychło do bogactwa, stawali się potęgami finansowemi, powierzano im prawo bicia monety, poboru ceł itp.

Wkrótce jednak Żydzi rozradzający się z niesłychaną szybkością, zaczęli ciężyć na życiu gospodarczem miast, w których się przeważnie osiedlali. Tworzyli niebezpieczną konkurencję rzemieślnikom chrześcijańskim i walnie przyczynili się do tego upadku, w jakim pogrążyły się miasta w XVII. i XVIII. wieku.

Nic dziwnego, że żywioł żydowski stał się wkrótce przedmiotem ogólnej nienawiści. Miasta zaczęły się bronić, starały się o specjalne przywileje królewskie zakazujące Żydom osiedlania się w danem mieście, lub zakazujące im wykonywania pewnych zawodów. To ostatnia droga w praktyce przynosiła wielkie szkody, gdyż Żydzi wyłączeni od rzemiosła i handlu, uprawiali masowo lichwę, która ubogie mieszczaństwo pogrążała w jeszcze gorszej nędzy.

Gdy wszystkie sposoby walki nie przyniosły pożądanych rezultatów, bądź skutkiem nieprzestrzegania zakazów, — skutkiem braku solidarności, bądź na gruncie ciasnoty umysłowej wieku XVII. i początku XVIII. wytworzył się antysemityzm, wyrażający się pogromami, napadami żaków na ghetto, namiętnemi a niezbyt głębokiemi pamfletami itp.

* * *

Dopiero w połowie wieku XVIII, gdy w Polsce zaczęły nurtować poważne prądy reformatorskie, zmierzające do naprawy ustroju, — poraz pierwszy zajęto się kwestją żydowską bez żółci i złości, tak jak należy się zająć każdą bolączką zagrażającą normalnemu rozwojowi społeczeństwa.

W czasie trwania sejmu czteroletniego sprawę żydowską poruszył poseł piński Mateusz Butrymowicz, który w roku 1789 wydał broszurę pt. „Sposób uformowania Żydów polskich w pożytecznych krajowi obywatelów".

W broszurze tej głosi autor hasła asymilowania Żydów, przyczem głównej przeszkody w asymilacji dopatruje się nie w różnicy wyznań, lecz w wadliwem ustawodawstwie, które wyodrębnia niepotrzebnie Żydów z ogółu społeczeństwa.

Przeciwnie, zamiast władzy kahałów (które powinno się znieść) należy Żydów oddać pod władzę magistratów miejskich i zakazać im noszenia odmiennych strojów, używania języka obcego w księgach kupieckich i korespondencji.

Broszura Butrymowicza wywołała szeroką polemikę, która spowodowała, że Sejm czteroletni również zainteresował się kwestją żydowską, wyznaczając w roku 1780 deputację dla ułożenia projektu reformy stosunków polsko - żydowskich.

Skończyło się jednak na pracach wstępnych, które nigdy nie nabrały praktycznego znaczenia, — jak wiemy bowiem, wszystko co stworzył Sejm czteroletni, albo całkiem w życie nie weszło, albo zniesione zostało pod presją rosyjskich bagnetów.

Później zbudzony z letargu naród, broniący się ostatnim wysiłkiem przed zakusami wroga, nie miał już czasu ani możności zajmowania się kwestją żydowską. Dopiero po kongresie wiedeńskim, gdy nadzieje Polaków na odbudowanie niepodległej ojczyzny zostały przez rządy zaborcze przekreślone, kwestja żydowska ponownie wypłynęła na światło dzienne.

Pozostawało to w ścisłym związku z intenzywną pracą nad odbudową ekonomiczną kraju, jaką przedsięwzięto w Królestwie Kongresowem w pierwszych latach po nadaniu konstytucji przez Aleksandra I. Wtedy to, przy omawianiu sposobów podźwignięcia kraju z ruiny gospodarczej, niepodobna było pominąć kwestji żydowskiej, nic więc dziwnego, że na ten temat pisano podówczas wiele. „Myśli względem reformy Żydów w Królestwie Polskiem" Bronikowskiego, „O reformie ludu Izraela" Wyszyńskiego, „Sposób na Żydów" „Aperçu sur les Juifs", — oto kilka naprędce przytoczonych głosów tej wiecznie aktualnej dyskusji.

* * *

Wszyscy niemal autorzy zaczynają swe wywody od stwierdzenia, że Żydzi są znienawidzeni i starają się wyszukać istotne przyczyny tego zjawiska. A jest ich, trzeba przyznać, nie mało. I tak Wyszyński podaje za przyczynę obcość Żydów, stanowią oni odizolowany „naród w narodzie", obojętny lub co gorsza nieprzychylny wobec reszty obywateli, chciwy i oszukańczy.

U Bronikowskiego czytamy:

„Przeyście wielu maiątków dawnych obywateli w ich własność, cyrkuluiące kapitały w ich tylko prawie rękach... chęć nie umiarkowana do zysku przez oszukaństwa wywieraiąca się szczególniey na nasze włościany"*).

„Naywiększe zło ze strony Żydów iest, iż oddział ludności kraiowey nayuboższey niszczą, zachęcając go po wsiach do piiaństwa, a zatem wtrącaiąc go tak w względzie moralnym iak fizycznym w stan nędzy".

Panowie zaś niebaczni, że czynią to z własną szkodą Żydom karczmy dzierżawią gdyż;

„Żyd więcey niż inny od arędy zapłacić może, co sobie później odbiia na wieśniakach tysiącznemi sposobami".

Żydzi są więc przyczyną nędzy po wsiach, bo lud w karczmach rozpijają, oni spowodowali upadek rzemiosł po miastach, przez swą konkurencję, oni są pośrednio przyczyną kradzieży gdyż

„łatwy sposób zbywania włóczącym się żydom czegokolwiek, z poczciwych służących porobił nieraz złodziejów, w dzieciach często zawiązał haniebnego nałogu zarodek".

A wreszcie należy wspomnieć o szkodach, „które skarb z powodu ich zręczności w przekradaniu się z towarami przez pogranicze traci" o „podłym ich najczęściej charakterze" lichwie itp.

Takiego stanu dłużej naturalnie cierpieć nie można. Konieczna jest reforma, któraby poszła w trzech kierunkach:

1) Uzdrowienie stosunków ekonomicznych;

2) Asymilowanie Żydów przez oświatę i wychowanie;

3) Ścisłą kontrolę administracyjną Żydów zamieszkałych w kraju.

Pierwszy punkt programu da się zrealizować wtedy, gdy zniesiony zostanie zakaz zabraniający ubogiemu szlachcicowi „sposobem przemysłowym ale uczciwym o utrzymanie się starać" gdyż mieszczaństwo jest nieliczne i zgnębione uciskiem, a chłop rozpity i nieporadny.

Żydom należy stanowczo zabronić zajęć wpływających na demoralizację ludności chrześcijańskiej. A więc w pierwszym względzie trzeba bezwzględnie przestrzegać zakaz z roku 1538, mocą którego Żydom zabrania się handlować wódką. Akcję tą musi przeprowadzić się tylko w drodze ustawodawczej, gdyż prywatna inicjatywa rozbija się o brak solidarności ogółu ziemiaństwa, wypędzenie Żyda karczmarza w jednej wsi, bogaci karczmarza z sąsiedniej. Zabronić należy Żydom również handlu starzyzną by zapobiec paserstwu.



Norblin: „Polski Żyd"

Aby Żydom umożliwić zajmowanie się uczciwą pracą, trzeba im dać pozwolenie nabywania ziemi i pracowania na roli z tem jednakże, że „w pewnej liczbie włók bez chłopów kupionych powinien Żyd oznaczoną liczbę swego wyznania ludzi osadzać. Inaczey uyrzemy wprawdzie Żydów właścicielami ziemi, ale nową chłostę na naypracowitszych ludzi sprowadzimy", gdyż

„Żyd ziemi właściciel na któreyby chłop pracować musiał nie opuszczałby miasta, trawiłby tam dni w sklepie ćwicząc się nieustannie w różnych oszukaństwa rodzajach i tyleby się tylko poddanymi swoimi przez Żyda ekonoma trudnił ile własny zysk z wyłączeniem wszelkiey ludzkości czynić by mu nakazywał".

Inni znów autorzy proponują, by Żydami kolonizować pustki w dobrach państwowych (opuszczone role), w każdym jednak razie Żyd na wsi mógłby zajmować się wyłącznie tylko rolnictwem.

Sama jednak reforma stosunków gospodarczych nie da się przeprowadzić bez odpowiedniego przygotowania, które ma dać oświata. Powinna ona iść w dwu kierunkach: przedewszystkiem należy krzewić oświatę wśród ludu, gdyż jej brak ułatwia „niecne Żydów zamiary", a potem wśród samych Żydów nie wyłączając i kobiet „Zważaiąc iak wielki wpływ sposób myślenia tey płci zawsze w wszystkich Narodach na charakter mężczyzn miał i koniecznie mieć musi".

Dzieci żydowskie od szóstego roku życia powinny uczęszczać do szkół pospołu z dziećmi chrześcijańskiemi, a jedynie nauka religji musiałaby odbywać się oddzielnie. Ażeby zachęcić Żydów do kształcenia się, należy dopuścić ich do urzędów, których objęcie uzależnione byłoby od pewnego cenzusu wykształcenia. W zamian za to żydzi powinni dostarczać rekruta na równi z resztą ludności, znieść należy nieprawne podatki, które Żydzi płacą jedynie z powodu zachowywania zakazów religijnych (np. specjalny podatek od mięsa koszernego itp.). To równouprawnienie Żydów ma na celu przeprowadzenie procesu asymilacji. Chodzi o to, żeby ten obcy żywioł żydowski przetworzyć na pożytecznych dla państwa obywateli. Ażeby asymilację przyspieszyć należy z Żydami nawiązywać stosunki towarzyskie: „Przyjazne obchodzenie się z niemi, zachęcanie nawet do uczestnictwa publicznych zabaw" „zupełną Żydów reformę do skutku przywieźć może".

Mimo tych licznych ustępstw należy zachować jednak rozsądny umiar, gdyż „byłoby grzechem nietylko politycznym, ale i moralnym dopomagać Żydom z własną szkodą".

Przewidując trudności na jakie asymilacja natrafi ze strony Żydów, wszyscy niemal autorzy proponują środki administracyjne mające na celu osłabienie wewnętrznej spoistości Żydostwa. Przedewszystkiem należy przeprowadzić dokładną ewidencję Żydów w kraju zamieszkujących; w tym celu jedni proponują dla nich przymus paszportowy (nawet dla dzieci) inni zwyczajne spisy i kontrole za pośrednictwem ewidencji urodzeń, zgonów i ksiąg stanu cywilnego, radykalniejsi wreszcie proponują wyznaczenie pewnych miast (Warszawa, Lublin) gdzie skupiliby się wszyscy Żydzi.

Przy okazji pierwszego spisu ludności ojcowie rodzin przyjmowaliby nazwiska rodowe. Kahały jako instytucje samorządowe wyodrębniające Żydów od reszty społeczeństwa, należy znieść, a Żydów należy oddać pod zwierzchnictwo burmistrzów (w miastach) lub wójtów. Rabini, wybierani na lat 6, mieliby do spełnienia wyłącznie funkcje religijne.

Księgi treści religijnej mają być drukowane w języku polskim i hebrajskim a wszystkie księgi handlowe, dokumenty i korespondencje mają być prowadzone wyłącznie w języku polskim.

* * *

Jest rzeczą ciekawą, że autorowie dość niechętnie odnoszą się do projektu wysuniętego jeszcze przez Butrymowicza, by Żydom zakazać używania odrębnych ubiorów, przeciwnie uważają, że odrębności stroju lepiej na razie nie znosić, gdyż „dogodniej by im było zachować dawny charakter a kraj zamiast widocznych nieprzyjaciół znosiłby nieszkodliwy na pozór, ale tem niebezpieczniejszy ciężar!

Gdy teraz zastanowimy się ogólnie nad temi wywodami uderza nas dziwna na pozór rozbieżność: z jednej strony mamy trafnie ujętą rolę, jaką Żydzi w ówczesnych czasach odgrywali, z drugiej zaś niemal naiwna wiara, że przez wychowanie i oświatę będzie można w krótkim czasie zmienić do gruntu duszę żydostwa.

Optymizm ten, na który patrzymy dziś z uśmieszkiem pobłażliwości, był wówczas zupełnie zrozumiały. Autorzy wierzyli święcie w modne w wieku oświecenia poglądy, że przez umiejętne wychowanie można człowieka dowolnie modelować i chcieli tą drogą oddziałać na Żydów. Tymczasem problem okazał się trudniejszym do rozwiązania niżby się to pozornie zdawało. Żydzi wobec których z czasem zastosowano wszystkie powyżej wymienione rady i pomysły, nie tylko nie ulegli asymilacji, ale przeciwnie stali się w społeczeństwie grupą coraz bardziej wyodrębnioną i obcą.

R. R.

*) W cytatach zachowana oryginalna pisownia.

Życiodajne słońce!

Czarujące czytelniczki, zmienione dzięki palącemu działaniu słońca lub pudru w czekoladowe boginie, we wszystkich odcieniach bronzu, ostrzegam was z góry, że czytając niniejszy feljeton, doznacie rozczarowania. Bowiem nie znajdziecie w nim rady, jak należy racjonalnie się palać, lub naukowo popartego dowodu, że koniecznym jest dla was wyjazd nad morze itp., a zgoła co innego. Wam zaś reprezentanci brzydkiej połowy rodzaju ludzkiego nie dam powodu do narzekań. Jak gromem, ciskam pytaniem: Czy zastanawialiście się kiedyś, coby się stało, gdyby słońce ostygło? Napewno nie. Zagadnienie to interesowało i nadal interesuje astronomów — ludzi nauki, całą duszą oddanych badaniu wszechświata, w najszerszem tego słowa pojęciu.

Uczeni ci nie mają innego zmartwienia, jak obliczać, ile jest gwiazd na wschodniej czy południowej półkuli nieba, kiedy słońce zgaśnie, lub zderzy się z innem ciałem niebieskiem, łapać za ogon komety i nurzać się w bezmiarze krociowych liczb. Nie jest to broń Boże złośliwość z mej strony, ani branie na kieł astronomji, przed którą, sam, jako przyrodnik, chylę czoło, ale takie sobie lekkie traktowanie tematu naukowego,



Fotografja korony słonecznej 30 sierpnia 1905

by zbytnio nie przemęczać czytelników w okresie kanikuły.

Zanim zaczniemy zastanawiać się nad wyżej przytoczonem pytaniem, musimy wpierw poznać słońce jako takie. Zawrotnych liczb, jakiemi z konieczności będę operował, proszę się nie przerażać — zresztą postaram się używać ich jak najmniej.

* * *

Słońce — to jądro ogniste naszego systemu planetarnego, dzięki któremu (słońcu oczywiście) rozwija się życie na ziemi, posiada średnicę 108 i pół razy większą od średnicy ziemskiej. Objętość słońca jest 1.280.000 razy większą od objętości ziemi, zaś masa słońca jest 324 tysięcy razy cięższą od masy ziemskiej. Wyrażając się astronomicznie, ciężar masy słońca wynosi 1.879 oktyljonów kg (przedstawiając cyfrowo, liczba ta wygląda: 1879 plus dwadzieścia siedem zer).

Średnia odległość słońca od ziemi, przyjęta przez Konferencję Paryską w 1911 r., wynosi 149 miljonów 450 tysięcy km. Gdybyśmy chcieli np. polecieć na słońce samolotem, którego przeciętna szybkość wynosiłaby 120 kg. na godzinę, to musielibyśmy zużyć 150 lat czasu. Temperatura słońca na powierzchni wynosi około 6 tysięcy stopni bezwzgl., t. zn. jest zwyż dwa razy wyższą od temp. najgorętszych części łuku elektrycznego, wewnętrzna zaś temp. słońca, wedle obliczeń Emdena, Eddingtona i in. wynosi od 30 do 60 miljonów stopni. Tak olbrzymia temperatura, przekraczająca wszelkie ludzkie doświadczenia, nie pozwala nawet w przybliżeniu wyobrazić się rozumem.

Siła światła słonecznego, wyrażona w świecach, równa się sile $3{,}23 \cdot 10^{27}$ potęgi świec. Jest to tak olbrzymia liczba, że nie sposób jej [illegible] przedstawić. Słońce świeci światłem żółtem. (Gwiazdy dzielimy ze względu na blask, jaki wysyłają w przestrzeń, na gwiazdy białe, żółte i czerwone. Szczegółowe różnice występują w badaniach spektroskopowych. Gwiazdy białe zawierają przeważnie wodór lub hel, z którym występuje też tlen. Nie zawierają zaś, lub zawierają w małej ilości metale, występujące natomiast w widmie gwiazd żółtych. Gwiazdy czerwone zawierają związki chemiczne.)

Żółty blask słońca tłumaczy się tem, że gwiazda ta do pewnego stopnia już ostygła. W chwili, gdy blask słońca przybierze barwę czerwoną, wówczas promieniowanie jego wyniesie zaledwie jedną siódmą ciepła, jakie obecnie wysyła, co równać się będzie zagładzie życia na ziemi. Kiedy to przypuszczalnie nastąpi, o tem poniżej.

* * *

Badania nad słońcem, zaprzęgały umysły ludzkie od czasów najdawniejszych i już Galileusz, Scheiner i Fabricius, odkryli plamy na słońcu. Plamy te, są to ciemne utwory na powierzchni słońca, mające niejednokrotnie średnicę dochodzącą do kilkuset tysięcy km. Są one widoczne w dwu pasach i posuwają się ze wschodu na zachód, w ciągu 13—14 dni. Nieraz ukazują się po dalszych 13—14 dniach, są więc unoszone przez ruch słońca dookoła swej osi, w przeciągu ok. 27 dni.

Dookoła plam słonecznych znachodzą się części jaśniejsze, od otoczenia, t. zw. pochodnie. Fotografje słońca, wskazują na jego budowę, która przedstawia się pozornie ziarnista. Nad promieniującemi na ziemię chmurami słonecznemi, leżą ogromne masy gazów, w których występuje w znacznej ilości hel, wodór żelazo, magnez, wapień i sód. Hel i wodór występują w najzewnętrzniejszych warstwach atmosfery słonecznej, w t. zw. chromosferze, grubości od 7 do 9 tysięcy km.

Ponad chromosferą wznoszą się ogniste języki i promienie, które gdy sięgają ponad 15 tysięcy km., zwiemy protuberancjami. Ilość oraz wysokość protuberancyj, wzrasta z liczbą plam słonecznych. Protuberancje dzielimy na metaliczne i spokojne. Pierwsze zawierają wielką ilość par metalicznych, są w bardzo silnym ruchu, (który dochodzi do kilkuset km. na sekundę) i występują najwyraźniej w pasach plam słonecznych oddalonych od równika słonecznego o 20°. Drugie — protuberancje spokojne, składają się wyłącznie z wodoru i helu i występują na całej powierzchni słońca, posuwając się ruchem powolnym. Przepływają one na wysokości około 50 tysięcy km. od powierzchni słońca, co tłumaczy się odpychaniem promieni słonecznych — czyli ciśnieniem światła.

Protuberancje spokojne porównać możemy do chmur, a zwłaszcza obłoków. Zdarza się, że masa protuberancyj opada na powierzchnię słońca, w rodzaju ognistego deszczu. Wyżej wspomniane pochodnie słoneczne wykazują zawartości helu i sodu. Pochodnie te dosięgają niejednokrotnie fotosfery słonecznej i są widoczne jako jej wyniosłości.

W czasie zaćmienia słońca, pośród oparów — daje się zaobserwować t. zw. korona, złożona z promiennych części. Rozciągłość „korony" słonecznej, niejednokrotnie przewyższa długość kilku średnic słońca, poza jego tarczą. Badania widmowe korony słonecznej, wykazały obecność wodoru i bliżej nieznanego gazu, który nazwano „coronium".



Typ plamy słonecznej

* * *

Poznawszy — bardzo pobieżnie zresztą — budowę słońca, oraz zachodzące na niem zjawiska przystępujemy do rozwiązania zagadki; kiedy słońce zagaśnie i co wtedy stanie się z naszą planetą? Słońce promieniuje, czyli wysyła stale w przestrzeń energję świetlno-cieplną. Wiemy, że energja ta, nie jest obecnie tak silną, jaką musiała być setki miljonów lat temu, w każdym razie jest jeszcze bardzo dużą.

Mimowoli nasuwa się pytanie, skąd słońce czerpie tak wielką ilość energji? gdzie są jej zapasy? Promieniowanie słońca, powoduje utratę energji, a z zasady zachowania energji wiemy, że nie powstaje ona z niczego, że musi być jakieś jej źródło.

Robert Mayer, orzeka w swej hipotezie co do źródła energji, że słońce czerpie energję wysyłaną w przestrzeń, z nieustannego spadania na nie gwiazd i innych ciał podobnych. Hipoteza Mayera upada jednak z powodu prostego rachunku, z którego wynika, że spadająca na słońce masa ciał niebieskich, równająca się masie ziemi, starczyłaby zaledwie na pokrycie promieniowania słonecznego, w ciągu niespełna 100 lat, zaś ciągłe takie bombardowanie słońca, po okresie 30 miljonów lat, podwoiłoby jego masę, co jest oczywiście niemożliwe, biorąc pod uwagę bardzo krótki na stosunki wszechświata okres 30 miljonów lat.

Również i t. zw. „teorja kontrakcyjna" Helmholtza, orzekająca, że wskutek kurczenia się masy słońca, wyzwala się energja promieniowania nie rozwiązuje zagadnienia, ponieważ obliczenia lorda Kelvin'a wykazały, że skurczenie się słońca do stanu obecnego, mogło wytworzyć energję promieniowania, wystarczającą na 50 miljonów lat. Fakty z geologji, wskazują nam jednak, że promieniowanie słońca odbywa się w okresie znacznie dłuższym, aniżeli 50 miljonów lat.

By wyjść z labiryntu mylnych hipotez, musimy podejść do zagadnienia z innej srony. Wiemy, że promieniowanie niesie za sobą masę, czyli, że ciało promieniujące, ciągle ją traci. Wedle najnowszych obliczeń, każdy centymetr kwadratowy słońca, przedstawia siłę światła o mocy 8 koni, co równa się stracie masy około jednej piątej grama z jednego centymetra kwadratowego na sto lat. Ta nieznaczna utrata masy z jednego cm², w przeciągu wieku, musi być pomnożona przez całkowitą ilość centymetrów kwadratowych, zawartych na powierzchni słońca — i wynosi 4 miljony ton masy na sekundę.

Na dbę traci więc słońce „tylko" 350 miljonów ton, rocznie zaś 131 biljonów ton. Wziąść musimy jednak pod uwagę fakt, który, jak wykazały badania, orzeka, że strata tak olbrzymiej masy, jakkolwiek istnieje, to jednak odbywa się z prędkością stale malejącą. Zmniejszanie się tej straty masy, jest niewidoczne i odbywa się bardzo powoli. Gdybyśmy jednak nawet przyjęli, że słońce stale traci 131 bilionów ton masy rocznie, to do stracenia ostatniego grama swej mocy, potrzebowałoby jeszcze 15 biljonów lat, czasokresu o pojęciu ludzkiem bardzo długiego, w którym ziemia czerpałaby energję słoneczną jeszcze przez jakieś setki miljardów lat.

Dokładne opisywanie tego zagadnienia, oraz porównywanie go ze stosunkami na innych gwiazdach, zajęłoby nam wiele czasu, a pozatem nie nadaje się do rozważań w czasie... słonecznego gorąca. W zupełności zadowolimy się faktem stwierdzającym, że słońce długo, bardzo długo będzie wysyłało energję promieniotwórczą, którą czerpie, jak wykazał sir James Jeans, ze swego



Metaliczna protuberancja o wirowym ruchu



Mechaniczna protuberancja w kształcie fontanny

wnętrza gazowego, a które składa się ze zbiorowiska atomów odartych z powłoki elektrycznej aż do warstwy K, poruszających się swobodnie i niezależnie od siebie.

* * *

Pozostałyby do omówienia inne groźne dla naszej planety i dla życia wogóle zagadnienia, jak: główny ciąg gwiazd w wszechświecie i możliwość zetknięcia się naszego systemu planetarnego z innym systemem planetarnym, dalej — ewentualność ustania ruchu ziemi dookoła własnej osi, zwiększenie względnie zmniejszenie się odległości ziemi od słońca i t. p. Wszystkie jednak te zagadnienia mieszczą się w ramach biljonów, kotyljonów i innych „onów" lat, tak, że niewarto niemi zaprzątać sobie głowy.

Z przestrzeni międzyplanetarnych, z powodzi miljardowych liczb, ciągnących się na kilometry, zejdźmy na ziemię. Troskę o przyszłe losy naszej planety pozostawmy astronomom, sami zaś czerpmy „pełnemi garściami" życiodajną siłę słońca, która pozostanie jeszcze dla miljonów pokoleń przyszłych.

Tadeusz Kwaśniewski

Ciekawostki ze świata

Spadek konsumcji piwa w Austrji

Za dobrych czasów dużo szło piwa w Wiedniu i wogóle w tych krajach, które należą do dzisiejszej Austrji. Po wojnie bieda przyniosła z sobą wstrzemięźliwość, ale jeszcze w r. 1929 wypadało na głowę 78 litrów czyli 6.1 litrów czystego alkoholu. W r. 1933 cyfry te znalazły do 34 litrów piwa i 3.8 litrów czystego alkoholu. W bieżącym roku stwierdzić można dalszy spadek, w przybliżeniu o 15%.

Wódek Austrjacy nigdy nie wypijali dużo, ale w ciągu 5 lat konsumują ich po litrze zamiast dawnych 2 litrów na głowę. Natomiast wzmogła się nieco konsumcja wina. W r. 1933 wypadało po 15.6 l na głowę, obecnie 18.7 l.

Niedźwiedź polarny zwolennikiem upału

W londyńskim Zoo zwierzęta rozkoszują się podczas upałów kąpielą z rozkoszą, chlapią się i opryskują wodą, małpy nie mogą wytrzymać bez wody. Wogóle kąpiel przywraca na ogół mieszkańcom Zoo humor. Tylko niedźwiedzie polarne czują się najlepiej podczas upału i z widoczną satysfakcją kładą się tam gdzie słońce najsilniej operuje. Podczas zimowych miesięcy nie chcą się myć zupełnie, a i w lecie długo nie mogą się na to zdecydować. Dopiero po jakimś czasie trwania gorąca zaczynają korzystać ze sposobności zanurzenia się i będzie to trwało do jesiennych chłodów.

Wizyta rewolucji w radjo wiedeńskiem

Radjosłuchacze austrjaccy i ci wszyscy, którzy słuchali w tym dniu radja austrjackiego, przeżyli w dniu 25 lipca niełada wstrząs. Historja zgotowała im niełada niespodziankę. Począwszy od godziny 11-ej rano wywróciła do góry nogami cały ustalony program radjowy. Zaimprowizowała własne, tragiczne i krwawe słuchowisko. Słuchacze informowani przez fale radjowe byli świadkami, w jak nieoczekiwany i przypadkowy sposób tworzy się historja. Kto słuchał tych zaimprowizowanych, niewiążących się ze sobą nieraz sprzecznych faktów, odgłosów, enuncjacji i przemówień i kto je sobie potem usystematyzował, ten nie zapomni ich nigdy. Nie sięgając do żadnych źródeł, nie uciekając się do niczyich relacji, słyszał na własne uszy jak tworzą się dzieje.

Wystarczy sobie tylko wyobrazić kolejność tych wszystkich audycyj, straszliwych, w nieoczekiwanej swojej prawdzie. A więc po 11-ej nagła przerwa i zdyszany, głuchy głos speakera, donoszący o dymisji rządu Dollfussa a jako tło jakieś trzaski, uderzenia i wrzawa. Potem przerwa i po południu sprostowanie wiadomości o dymisji, nawoływanie do spokoju a pod wieczór cała masa relacji: ministrów Feya, Schuschnigga... Fey głosem zdławionym ze wzruszenia czy wstydu opowiada o śmierci opuszczonego przez wszystkich Dollfussa. W konkluzjach mówców dźwięczy niepewność i trwoga. Sami niespokojni i niepewni, co przyniesie następna godzina, wzywają słuchaczy do rozwagi i spokoju. Oto w jaki sposób radjosłuchacze austrjaccy przeżyli dzień 25 lipca.

Radjo było w tym wypadku dostawcą historji na surowo, historji w momencie jej stawania się, historji nieopracowanej, ociekającej krwią. Ale radjo było nietylko łącznikiem ale jednym z głównych przedmiotów toczącej się walki. Wiemy z relacji, że hitlerowscy spiskowcy obrali sobie dwa główne cele swoich operacji: pałac kanclerski na Ballhausplatzu i gmach Ravagu, radja austrjackiego na Johannesstrasse. Refleksje, które się dadzą wyciągnąć z wydarzeń austrjackich, są natury nietylko politycznej, psychologicznej, socjologicznej ale i poprostu technicznej. Każda rewolucja i przewrót zmierzają do opanowania najważniejszych ośrodków dotychczasowego organizmu rządowego. Że jednym z nich był we Wiedniu urząd kanclerski, to samo się przez się rozumie.

Ale jest rzeczą znamienną, że jako cel drugi swoich operacji obrali spiskowcy nie kolej, nie telegraf, nie centrale telefoniczne ale właśnie radjo — radjo jako najszybszego, bezkonkurencyjnego dostawcę wiadomości, który pozwala swoim słuchaczom żyć nie przeszłością ale rozgrywającą się w danym momencie teraźniejszością. Wymuszona na speakerze stacji wiedeńskiej deklaracja o rzekomej dymisji rządu stanowiła sygnał dla spiskowców na prowincji, aby przystąpili do akcji, i miała napełnić przerażeniem i zdezorganizować władze, urzędy i zwolenników dotychczasowego systemu.

Walki wokoło radja i w całym jego gmachu były znacznie bardziej zacięte od tych, które rozegrały się wokoło gmachu kanclerskiego. Rząd, zdobywszy radjo z powrotem, począł nerwowo i gwałtownie eksploatować je dla swoich celów. Radjo było najważniejszem centrem i najdonioślejszem echem rozgrywających się wypadków. Rodząca się rewolucja złożyła mu pierwszą swoją wizytę, a potem wkroczyły władze aby usunąć nieoczekiwanego groźnego gościa.

Ale nie samo tylko radjo wiedeńskie było ważnym aktorem rozgrywającego się dziejowego dramatu. Berlin w tem wszystkiem maczał swoje palce i stacje radjowe niemieckie niemałą w tej materji odegrały rolę. Przedewszystkiem radjo w Monachjum, na które niemal cały świat zrzuca odpowiedzialność za krwawe wypadki. Przed monachijskim mikrofonem stawali raz poraz hitlerowscy specjaliści do spraw austrjackich, pp. Habicht, Frauenfeld i in. atakując namiętnie rząd Dollfussa i osobę jego szefa i wzywając do oporu i nieposłuszeństwa. A obecnie pisma śledzą dokładnie, jak się zachowało radjo berlińskie w nieszczęsnym dniu 25 lipca. Informacje jego były sprzeczne i niepokrywające się ze sobą. Udawało, że nie wie kto jest autorem i organizatorem rewolucji wiedeńskiej. Zrzucało winę na komunistów, na socjalistów, na Heimwehrę, na wojsko. Chwilami jednak wyrywał mu się z mikrofonu okrzyk radości: „Oto lud austrjacki wystąpił wreszcie przeciw znienawidzonemu systemowi, oto wreszcie zbudziła się prawdziwa germańska Austrja!“ Ale potem, gdy opinja całego świata, jego parlamenty, prasa, stacje radjowe wystąpiły w obronie zamordowanego małego kanclerza, wtedy i rząd i radjo niemieckie musiały się cofnąć i p. Habicht, nieostrożny czy niezręczny kierownik służby informacyjnej, musiał podać się do dymisji.

A teraz, po relacji podmalowanej czerwienią krwawych wypadków, parę uwag bardziej już pogodnych i codziennych. Mówiliśmy o radjo i rewolucji. Przypatrzmy się jeszcze na chwilę stałemu, zacieśniającemu się coraz bardziej związkowi między radjem a polityką.

Niema w ostatnich czasach polityka, któryby w najważniejszych sprawach i momentach nie stawał przed mikrofonem i niema ważniejszego wypadku politycznego, któryby nie odbił się natychmiastowem echem w audycjach radjowych. Stary 70-letni a doświadczony i zręczny szef rządu francuskiego, zawsze uśmiechnięty p. Gaston Doumergue w dzień utworzenia gabinetu zadebiutował przed mikrofonem. Debiut bardzo się udał i od tego czasu stary francuski mąż stanu nie opuszcza żadnej okazji porozumienia się z niewidzialną rzeszą swoich współobywateli. W swobodnym tonie przyjacielskiej pogawędki rozmawia z nimi na temat sanacji finansów, niezbędnych reform w ustroju państwa, potrzeby zespolenia wszystkich sił w momencie, ciężkim pod względem tak politycznym jak ekonomicznym. — To samo dzieje się w innych państwach. Po krwawym niemieckim dniu 30 czerwca minister propagandy Goebbels wziął na siebie zadanie uświadomienia radjosłuchaczy a przemowa kanclerza Hitlera w Reichstagu puszczona została na fale eteru docierające do uszu całego świata.

Radjo, wszędzie radjo, zawsze radjo. Niema bez niego historji, niema informacji, niema orjentacji. Człowiek nieposługujący się radjem, odcięty jest od świata. Dlatego możnaby pół żartem powiedzieć, że mężowie stanu, którzy dotąd musieli stanowić wdzięczny temat dla fotografów i aparatów filmowych, będą musieli obecnie być nietylko fotogeniczni ale i radjofoniczni.

J. W.

Dziecko w Japonji

Dzień 5 maja jest w Japonji wielkiem, najmilszem może świętem: świętem dzieci. A właściwie świętem dzieci tylko płci męskiej, tej największej dumy i nadziei każdej rodziny.

Boć przecież ci chłopcy, gdy dorosną, będą mieli święty obowiązek kontynuowania kultu przodków, — i to nietylko przodków rodzinnych, ale i przodków dynastji. Bo w ich rękach leży przyszłość i potęga całego narodu!

Toteż w każdym domu ustawia się mały ołtarzyk, przystrojony chorągiewkami i kwiatami irysu, którego długie, wąskie, a ostre liście we formie lancy symbolizują męstwo i odwagę. A przed niskiemi domkami na przedmieściach, na wysokich żerdziach, chwieją się na wietrze sporządzone z papieru i pomalowane jaskrawemi farbami, olbrzymie karpie. Jest ich tyle, ile dzieci płci męskiej liczy dana rodzina.

Karp, walczący z prądem wody, umiejący przemykać się zręcznie wśród czyhających nań sieci, jest symbolem inteligencji, sprytu i energji. A może i przypominać ma młodym obywatelom państwa Wschodzącego Słońca, że „milczenie jest złotem"?...

Chociaż coprawda — o ile dorosły Japończyk jest skryty i małomówny (zwłaszcza w stosunkach z cudzoziemcami), o tyle jako małe dziecko nie zna żadnych ograniczeń, żadnych zakazów czy przymusów, mogących hamować jego elokwencję.



Japońskie dzieciaki na specjalnym „konkursie" w Tokio.

Rodzice słuchają z niepojętą cierpliwością szczebiotania swego dziecka, odpowiadają chętnie na każde, najbardziej nawet naiwne, pytanie, wyjaśniają, tłómaczą, traktując dziecko za najmilszego towarzysza i przyjaciela. Starsze rodzeństwo bez wahania spełnia wszelkie życzenia i kaprysy małego despoty, okazując mu na każdym kroku niesłychaną troskliwość, ustępliwość i miłość.

To uprzywilejowanie stanowiska dziecka obserwuje się wszędzie: w parkach i ogrodach publicznych osobne duże place zarezerwowane są dla zabaw dziecinnych. Huśtawki, karuzele, łódki, stoją im bezpłatnie do dyspozycji. Dla najmłodszych zaś — góry czystego, białego piasku, w którym bawić się mogą dowoli.

Nierzadko też można spotkać w parkach, nawet stolicy, młodzieńców, uczniów wyższych zakładów naukowych lub szkół wojskowych, którzy prowadzą za rękę lub obwożą we wózku swych maleńkich braciszków, opiekując się nimi troskliwie.

Do siódmego roku życia dziecko jest „oczkiem w głowie" całej rodziny. Obsypuje się je prezentami, zabawkami, spełnia się wszystkie jego żądania. Jakże rozkosznie wygląda taki malec, odziany w malowniczy strój narodowy, w powiewną sukienkę z szerokiemi rękawami, przypominającą różnobarwnego motyla!

Niestety, strój ten stopniowo coraz bardziej zanika, ustępując miejsca ubiorom fabrycznym, skrojonym na modłę europejską. Tańsze to, wygodniejsze, bardziej praktyczne, ale odbiera dużo uroku tym dzieciakom, uwydatniając każdy defekt ciała, nie grzeszącego klasyczną harmonją linij.

Warto zobaczyć rodzinę japońską, wybierającą się w święto na przechadzkę. Na czele kroczy ojciec, za nim, po starszeństwie, synowie. Za nimi dopiero matka z córkami, w ustalonym od wieków porządku. Cała rodzina — to miniatura całego społeczeństwa japońskiego, symbol jego potęgi, opartej na niewzruszalności i świętości życia rodzinnego, na przywiązaniu do tradycji, głębokiej religijności i patrjotyźmie.

Wszystkie te cnoty i zalety wpaja się od najmłodszych lat w duszę dziecka.

(r.)

Ciekawostki radjowe

Radjo dla głuchych. Jak donoszą dzienniki angielskie, w Burgess Hill demonstrował pewien inżynier wynaleziony przez siebie aparat radjowy, umożliwiający ludziom głuchym zupełnie słuchanie audycyj radjowych, taksamo dobrze, jak ludziom o normalnym słuchu.

Nauka przez radjo w Sowietach. Komisarjat oświaty publicznej w Moskwie przystąpił do zorganizowania 45 uniwersytetów ludowych dla kolektywnych gospodarstw rolnych. W tym celu zakupione zostanie czterysta tysięcy odbiorników radjowych, które rozdane zostaną bezpłatnie interesowanym.

Rumunja buduje olbrzymią stację nadawczą „Radio-Romania", o sile 150 kw.

Radjo-armata. Mordercze to narzędzie jest wynalazkiem włoskiego inżyniera. Skonstruował on aparat radjowy, z pomocą którego można będzie na odległość 400 kilometrów zniszczyć kompletnie setki samolotów... Pocieszajmy się jednak, że wiadomość tę podały pisma włoskie w okresie letniej kanikuły, szczególnie sprzyjającej się.. kaczek dziennikarskich i węży morskich.

Trująca ryba

W wodach Pacyfiku żyje osobliwa ryba, będąca prawdziwym postrachem rybaków, zwłaszcza japońskich. Ryba ta, z gatunku „Tedrodon", nosi słuszną zupełnie nazwę „jeża morskiego", posiada kształt kulisty, a całą skórę pokrytą potężnemi, ostremi kolcami.

Nie koniec jednak na tem: jeż morski posiada w rozmaitych organach swego ciała (wątroba, wnętrzności itp.) jakąś nieznaną, silną truciznę, której działania nie da się usunąć nawet po ugotowaniu ryby. Toteż częste są, zwłaszcza wśród uboższej ludności, wypadki niebezpiecznego zatrucia tą rybą, znane w Japonji pod nazwą „choroby Fugu".

ŚWIAT KOBIECY

Ploteczki o modzie

Jesteśmy właściwie w przededniu sezonu jesiennego. Pierwszym jej wyraźnym zwiastunem są futra, stosowane jako najrozmaitsze przybrania, i to nietylko grubszych płaszczy i kostjumów, ale i żakietów, „capes", pelerynek i sukien.

— Na futerko wszędzie znajdzie się miejsce: suknie wieczorowe mają i kołnierze i plisy i rękawy i tuniki przyozdobione paskami futerek o krótkim włosie. Bardzo modne będą znów baranki.

Kołnierze futrzane skrojone są w ten sposób że nie przylegają do karku, lecz opadają do tyłu, pozostawiając dość miejsca na szerokie rondo kapelusza.

— W kostjumach i płaszczach żadnych istotniejszych zmian. Płaszcze, trzy ćwierci długości, z reguły bardzo obcisłe, odznaczają się wielką prostotą, poza którą kryje się cały artyzm dobrego krawca.

— Guziki odgrywają nadal przy płaszczach i sukniach ważną rolę. Sporządzone z drzewa, z metalu, ze skóry, są nietylko ozdobą całego stroju, ale przyczyniają się do pewnego podwyższenia talji, dzięki umieszczeniu ich nieco wyżej.

— Suknie, przybrane tunikami, wyglądają jak podwójne spódniczki, z pod których wyglądają falbany szerokości 15—20 ctm.

— Z materjałów największem powodzeniem cieszą się welury i bouclé, na strojniejsze suknie lama złota i srebrna, flamisol i crepe-de-chine. Z nowości wymienić należy błyszczący jedwab sztuczny.

— Jak zwykle z jesienią, modne są kolory czerwieni, bronzu, miedzi i rdzy, przypominające pożółkłe i opadające liście. Obok tego znowu granat, w nowym odcieniu „atramentowym". No i oczywiście, jak zawsze, czarny, często w kombinacji z bielą lub srebrem.

— Dużem powodzeniem u młodych kobiet cieszą się białe, szerokie kołnierzyki, przypominające... czasy pensjonackie.

— Klipsy są nadal bardzo modne. Widzi się je przy każdej sukni czy kostjumie, w najrozmaitszych, nieraz fantastycznych kształtach.

— Spódniczki bardzo obcisłe, — natomiast długie, szerokie tuniki zmieniają zupełnie dotychczasową sylwetkę.

— Rękawy krojem raglanowym, ponad łokciem lekko poszerzone.

Kolor granatowy, zdaje się, stanie się w jesiennym sezonie najmodniejszym. Zwycięski jego pochód rozpoczął się już w lecie, zarówno na plaży jak na wycieczkach i placach sportowych (przedewszystkiem na kortach tennisowych) wypiera on zwycięsko kolor czarny. Nie ulega wątpliwości, że granat — mniej eurowy i poważny od czasu — znajduje znacznie szersze i wielostronniejsze zastosowanie. A kombinacje granatu z bielą są równie efektowne, jak tradycyjne kombinacje czarno-białe.

Chustki i chusteczki

W dziale chusteczek do nosa moda obecna czyni absolutny przewrót. Znikła zupełnie już chusteczka, której delikatny haft wymagał całych godzin zmudnej pracy, kolorowa, maleńka, oszyta cienką walansjenką, którą niejeden zakochany — chował do kieszeni, aby wdychać woń perfum i lepiej odtwarzać w myśli obraz ukochanej. Te małe cacuszka ustąpić muszą miejsca dużej, białej chustce z lnianego batystu, której jedyną ozdobą będzie duży, kolorowy monogram, lub batikowany szlak, nieblaknący w praniu, dzięki nowemu wynalazkowi w tym kierunku. Szczytem elegancji w tym sezonie będzie chusteczka noszona w kieszonce kostjumu, zrobiona z tego samego materjału co bluzka.





Podajemy dziś Czytelnikom dwa wzory monogramów angielskich, odpowiednich na pościel i bieliznę.

Najładniej wyglądają one wykonane haftem płaskim, bez podwlekania; po wyprasowaniu wyglądać będą jak tkane. Jest to i ładne i praktyczne i modne.

Kącik praktyczny

Rzadko używana bielizna stołowa oraz ozdobne lniane nakrycia będące dumą każdej gospodyni, wymagają owijania w niebieskie bibułki, by w czasie, kiedy nie są używane, nie ulegały zżółknieniu. Byłoby jednak daleko prościej i łatwiej wymalować wnętrze szuflady niebieską emalją, co usunie konieczność owijania w bibułę płócien stołowych.

* * *

Kilka kropel olejku lawendowego na półce bibljotecznej domowej, zapobiegnie pleśni atakującej cenne i stare egzemplarze książek.

* * *

Żarówki elektryczne powinny być ścierane jak i inne przedmioty w mieszkaniu, a raz na miesiąc myte w letniej wodzie z dodatkiem amonji. Zakurzona żarówka daje złe światło. Myjąc żarówkę należy uważać, by nie zamoczyć części metalowych.

* * *

Niemodny już dzisiaj taburet do pianina, kręcący się dokoła, powinien znaleźć honorowe miejsce w kuchni i w pralni. Zaleta jego kryje się w ruchomości siedzenia, co przy prasowaniu bielizny ułatwia wielce ruchy rąk.

* * *

Mleko kwaśne, które się „zburzyło", straciło smak lub z innego powodu nie nadaje się do użytku, można użyć do czyszczenia srebra stołowego. Srebro pozostawione na pół godziny w mleku, po wymyciu wodą będzie jasne i lśniące.

* * *

Do zimnej wody (pół miednicy) wlać kupioną za 50 groszy wodę miętową. Namoczyć w tem ścierkę, wykręcić i przez nią prasować suknię. Woda miętowa odświeża kolor, wywabia niektóre plamy i doskonale rozprasowuje załamania.

Poradnik dla gosposi

OGÓRKI NA KOMPOT.

Ogórki obrać, wybrać z nich pestki, po przepołowieniu pokrajać je na podłużne paski i sparzyć gorącym octem, w którym muszą przez cały dzień poleżeć. Nazajutrz ocet, zlać zagotować 1 litr octu z pół kg. cukru i ostudziwszy, zalać ogórki. Następnego dnia znów ocet zlać, zagotować i letnim już zalać ogórki i znów niech tak pozostaną przez 24 godzin. Tak zlewać ocet i gotować, coraz gorętszym zalewać pięć razy; nareszcie wrzucić ogórki do gotującego octu, raz zagotować, dołożywszy cynamon i goździki, poczem ostudziwszy wszystko zlać w słój i jak zwykle zakryć papierem szklanym.

RENKLODY Z ARAKIEM.

Renklody nakłuć szpilką i ułożyć w kompotjery, przesypać miałkim cukrem, biorąc 1/2 kg. owoców. Potem je zalać arakiem, by były wszystkie nim pokryte: zakryć szklanym papierem i gotować w kociołku, z zimną wodą przez kwadrans licząc od chwili, gdy się woda w kotle zagotuje.

GALARETKA Z OPADŁYCH JABŁEK

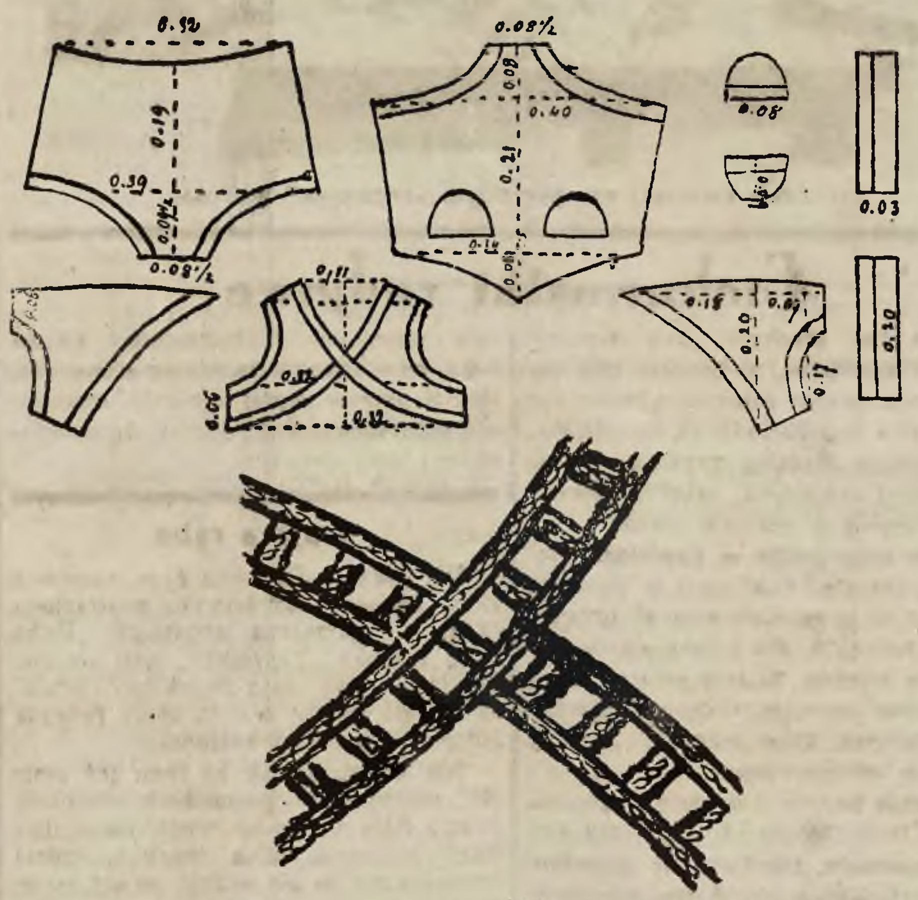
Urodzaj tegoroczny na jabłka daje sposobność do zaopatrzenia się na zimę w doskonałą a tanią galaretkę, tanią, gdyż można ją robić z najtańszych opadłych jabłek — zawsze jest równie ładna i dobra.

Trzeba tylko ściśle trzymać się przepisu, który podaję: 5 kg. jabłek wymyć i pokrajać wraz z łupiną i środkami; wykroić tylko rozumie się części zepsute i czarny wierzchołek, tzw. kielich jabłka. W kamiennym lub dobrze polewanym garnku rozgotować jabłka, dodając wody do przykrycia. Uważać trzeba, żeby się nie przypaliły. Do mieszania używać łyżki drewnianej, nigdy blaszanej.

Rozgotowaną miazgę wylewa się na czystą ścierezkę, niezbyt gęstą, umocowaną między czterema nóżkami odwrotnego taboretu, podstawiwszy pod ścierezkę miskę, do której sok przez całą noc ścieknie. Na każdy litr tego soku bierze się pół kg. cukru i gotuje godzinę, poczem próbuje się gęstość przez spuszczenie kropli na podstawkę. O ile po wystudzeniu łatwo się oderwie, galaretka jest gotowa, w razie przeciwnym gotować dalej. Dla zapachu dodaje się laseczkę wanilji do gotowania. Gorące zlać do słoików.

Letnie ubranko dla dziecka 1½ - 2-letniego





Ubranko to, o oryginalnym kroju, z kieszonkami po bokach, wygląda bardzo ładnie, a jest dla dziecka odpowiednie zarówno w domu jak i do zabawy w słońcu, na świeżem powietrzu.

Wyszyć je można dowolnie bawełną, włóczką lub jedwabiem, resztę zaś wypełnia się ściegiem łańcuszkowym. Spodenki przyszyte do stanika, zapinane u dołu na trzy guziki.

—o—